Nr. 208. Lwów — Wtorek dnia 10 Września. Rok 1901.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 6 po południu z datą dnia następnego. [illegible]

# PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: [illegible]

Dziś: św. Mikołaja z Tol. | Mojżeja
Jutro: św. Jacka i Prota | Usikl. hl. 8. Joan.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów. ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca o g. 5 m. 36
Zachód „ „ 6 m. 16

Długość dnia godzin 12 minut 40
Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

## Wśród walki o mandaty miejskie.

Zasada całości organizmu narodowego, polityka nie ludowa i nie demokratyczna, tak samo jak nie żadna arystokratyczna, ani żadna słowiańska, lecz wyłącznie polityka polska narodowa odniosła w ciągu ostatniego roku już drugi stanowczy tryumf. Jak rok temu, podczas wyborów do Rady państwa, tak i teraz, przy wyborach do Sejmu, naród zawiedzie oczekiwania ludowców i skoncentrowanych demokratów. Kurya gmin wiejskich już zgotowała im ten zawód, — kurya miejska niezawodnie zgotuje we środę. Będzie to prostem, nieubłaganem w swej logice następstwem szeregu zasadniczych błędów, tkwiących w samej istocie zarówno stronnictwa ludowców, jak demokratów skoncentrowanych. Przedewszystkiem, obie te partye, zgodne w tem z socyalistami, targnęły się na naszą solidarność narodową w Wiedniu. O ile socyaliści są pod tym względem konsekwentni, ponieważ nie uznają żadnej narodowości, o tyle ludowcy i skoncentrowani demokraci działali tylko z wyrachowania. Postawili oni mylną dyagnozę społeczną, że krajowi już się przejadło solidarne Koło; dali więc hasło do jego rozbicia, aby sami, jako twórcy nowego rzeczy porządku, stanąć na jego czele — i oto w tem się fatalnie przerachowali, a ten błąd egoistycznego wyrachowania przystał do nich jak piętno.

Obok tego błędu są jeszcze dwa inne w samej istocie obu tych partyj. Pierwszy z nich obarcza przedewszystkiem ludowców, bo oni go postawili tylko jako pewnik, a skoncentrowani demokraci tylko przyswoili go sobie, nie kontrolując, czy jest zgodny z prawdą, gdyż zaufali tym „znawcom“ ludu, za jakich ludowcy się podawali. Lud wiejski jest niezadowolony ze stosunków ekonomicznych i pod tym względem nie różni się od nas wszystkich, ludowcom zaś wyobraziło się, że ten lud nienawidzi szlachty i duchowieństwa; była to błędna dyagnoza niezadowolenia chłopskiego, o czem mogli się ludowcy i skoncentrowani przekonać z nader wymownego faktu, iż znaczna część włościan, wybranych w imię hasła niesolidarności, wstąpiła po pewnym czasie do solidarnego Koła. Lecz ludowcy i skoncentrowani w swem zacietrzewieniu nie zrozumieli tego faktu, nazwali go skutkiem jakiegoś „zaprzaństwa“ ks. Stojałowskiego, któremu też wydali wojnę i z góry trąbili, że całe jego stronnictwo rozbiją w puch podczas wyborów do Sejmu. Stało się odwrotnie: on ich rozbił. Ale przytem okazało się jeszcze, że w istocie chłopi poszli w pierwszej chwili za ludowcami tylko dlatego, iż oni im przyrzekali gruszki na wierzbie, bo gdy natychmiast przyrzeczenia nie dotrzymali, chłopi w wielu okręgach już wrócili do szlachty i duchowieństwa, a w innych wrócą jeszcze.

Błąd drugi tkwi przedewszystkiem w skoncentrowanych demokratach. Partya ta, spadkobierczyni dawnej tromtadracyi, urodziła się taka wątła, cherlawa, anemiczna, że gdyby nie [illegible]. W każdym razie, nikt tej dziecinie nie rokował długiego żywota, bo matka jej — tromtadracya — była już zupełnie wyżyta i zużyta. Reminiscencye rewolucyjne plątały się w jej programie z liberalizmem ekonomicznym, lojalność względem państwa łączyła się dosyć dziwacznie ze skłonnością do opozycyi na każdym kroku i w każdej sprawie. Przebrzmiałe hasła krępowały co chwila ludzi zdolnych, wobec zmienionych stosunków, wobec nowych prądów, dawny program antyszlachecki, liberalno-giełdowy, skrajnie szowinistyczny, a pomimo tego zalecający sojusz z niemiecką centralistyczną lewicą, opozycyjny z uporu, stał się zupełnym archaizmem. Postanowiono więc rok temu partyę uleczyć za pomocą śmiałej operacyi. Operatorowie ogłosili wówczas w dziennikach, że operacya się udała. Tymczasem pacyentka znajduje się jeszcze dziś, w rok po operacyi między życiem a śmiercią, z bardzo małą nadzieją wyzdrowienia.

Znowu trzeba powiedzieć, że kierownicy tej zoperowanej partyi popełnili błąd w dyagnozie. Wyobrazili sobie, że partye radykalne w tej postaci, w jakiej zorganizowane są dzisiaj, reprezentują taką siłę, iż koniecznie łączyć się z niemi trzeba — iść coraz dalej na lewo, bo (jak niedawno rzekł p. Rutowski) „przyszłość jeszcze bardziej na lewo“. Nadto, rok temu, podczas przygotowań do operacyi, dali — jak rzekliśmy wyżej — wmówić w siebie, że solidarność Koła i polityka obejmująca całość spraw polskich, jako narodu, są zbyteczne i nie znajdują w kraju uznania. Więc wówczas, na „wielkim wiecu“ w ratuszu lwowskim, 22 sierpnia 1900 r. uchwalono sławną „koncentracyę“ demokratów galicyjskich, postanowiono rozpocząć rokowania z socyalistami, z ludowcami i ks. Stojałowskim, a Kołu polskiemu zapowiedziano, że gdyby w przeciągu trzech miesięcy nie zmieniło statutu, to nowy wiec zwolni posłów demokratycznych od obowiązku solidarności poselskiej.

Trudno pojąć, jak ludzie zdolni mogli uledz takim złudzeniom! Socyaliści odrazu [illegible] umizgi skoncentrowanych, uznając ich za płód poroniony; ludowcy bardzo prędko również pokazali im plecy, bo się przekonali, że nowotwór [illegible] i nie warto karmić go mandatami, których ludowcy potrzebowali dla swoich jenerałów [illegible]; ks. Stojałowski wcale nie otrzymał mandatu do Rady państwa, więc skoncentrowani machnęli nań ręką, sądząc, że już na zawsze przepadł; a nadto wszystko zwarty zastęp ludzi wybitnych, o przekonaniach szczerze, po polsku demokratycznych, postępowych, zaprotestował bardzo stanowczo przeciw osłabianiu solidarności i stawianiu doktryn wyżej od zasady narodowej. Godzimir Małachowski i August Sokołowski, prof. Roszkowski i Teofil Merunowicz, prof. Ćwikliński i dr. Opolski, Michalski, Piętak i inni ludzie różnych odcieni, różnych zawodów, różnej przeszłości politycznej, oświadczyli wraz z tylu innymi, że solidarności podkopywać nie wolno. Koncentracya przegrała. Zaczęła się wycofywać. Tem pogorszyła jeszcze swoją sytuacyę — i odtąd żyła już tylko tem, do czego zawsze mieliśmy najwięcej skłonności: — frazeologią polityczną i krytyką ludzi zgryźliwych, bo zawiedzionych.

Innego „programu“ koncentracya nie wymyśliła, bo ten, który ogłasza od czasu do czasu, jest — jak ktoś rzekł na zgromadzeniu w „Gwieździe“ — „mieszaniną za szóstkę“: trochę salcesonów socyalistycznych i trochę ludowej kiełbasy.

Skoncentrowani to taka partya, która nie wie i nie pyta: dokąd kraj ma iść? — jeno się troszczy o to: z kim iść ma ona sama? To taka partya, która nie bada: z jakim wnioskiem ktoś wystąpił, z dobrym, czy złym dla kraju? — ale jedynie nad tem się zastanawia: kto wniosek postawił? i podług tego odrazu wyrokuje o jego wartości.

Jak rok temu, tak i teraz, do walki o mandaty miejskie stają skoncentrowani demokraci z demokratami narodowymi, jak ich zawsze pojmowali najzasłużeńsi między nami. Dla wyborców wybór między nimi ogromnie łatwy: postąpią oni, jak postąpili rok temu.

## Nowa zbrodnia anarchizmu.

Piszą nam z Wiednia 8 września.

Epidemia anarchizmu przetrwała wiek 19-ty, którego ostatni dziesiątek lat cechują najpotworniejsze skrytobójstwa anarchiczne. Odmiennie od dawniejszych morderstw „politycznych“, anarchizm nowożytny nie wymierza swych pocisków na pewne, szczególniej znienawidzone osobistości, lecz usiłuje zgładzić wszystkich reprezentantów społecznego ładu, począwszy od naczelników państw, aż do najskromniejszego „mieszczucha“. Z tej teoryi wynikły w ciągu ostatniego dziesięciolecia XIX wieku tysiączne zamachy i morderstwa, zwłaszcza we Francyi, Hiszpanii i Włoszech. Z natury rzeczy największe wrażenie sprawiały zabójstwa osobistości wybitnych, a każdy, aby się tak wyrazić: blagier anarchizmu łaknie „sławy“ mierząc „jak najwyżej“, jak to wyznał naiwnie morderca cesarzowej Elżbiety Luccheni przed sądem.

Z tysięcy zamachów anarchicznych największe zatem wrażenie sprawiły zabójstwa prezydenta republiki francuskiej Carnota przez Caseria (24 czerwca 1894), hiszpańskiego prezesa gabinetu Canovas del Castillo przez Angiolilla (8 sierpnia 1897 r.), cesarzowej Elżbiety przez Luccheniego (10 września 1898 r.), króla Humberta przez Bresciego (29 lipca 1899 r.). Zamachy na króla Jerzego greckiego (26 czerwca 1898 r.) i na króla Milana (6 lipca 1899 r.), jako owoc politycznej nienawiści stronniczej, nie należą do rzędu zbrodni anarchicznych w ścisłem znaczeniu wyrazu. Wszelkie cechy anarchizmu nosił na sobie zamach 18-letniego Sipida na księcia Walii (4 kwietnia 1899 r.), który na szczęście nie udał się. O ile dwa ostatnie zamachy na cesarza Wilhelma położyć wolno na karb anarchizmu, trudno rozstrzygnąć, ponieważ ich sprawcy zostali uznani za obłąkanych.

Że świeżo prezydent Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki, Mac Kinley, stał się ofiarą zamachu, nie może nikogo zadziwić, kto zna naturę anarchizmu. Nie jest to fanatyzm republikański, który pragnie zgładzić tylko — królów. Dla nowoczesnego anarchisty prezydent republiki jest tak samo śmierci godną osobą, jak komisarz policyi, profesor, albo dziennikarz, występujący w obronie społecznego porządku. Republikańska forma państwowa nie stanowi zatem żadnej zasadniczej zapory przeciwko anarchizmowi. Wprawdzie już dawniej dwóch prezydentów Stanów Zjednoczonych Lincoln (14 kwietnia 1865) i Garfield (2 lipca 1881) padli ofiarą skrytobójstwa. Ale w pierwszym razie dokonał go fanatyk stronnictwa skonfederowanych południowych demokratów, w drugim razie odprawiony z niczem petent z osobistej zemsty. Te zatem zabójstwa nie miały nic wspólnego z nowoczesnym anarchizmem. Anarchizm ten od kilku lat założył swe główne ognisko, niejako wysoką swą szkołę, w Zjednoczonych Stanach. Stamtąd rozsyłał swe krwiożercze manifesta niemiecki anarchista Most. Stamtąd powrócił do Włoch Bresci, aby dokonać zamachu na króla Umberta.

Przed kilku tygodniami wspomniałem o potwornej „zabawie“, urządzonej przez anarchistów w Chicago, w ogrodzie „Wolności“. Bawiono się tam strzelaniem do celu. Cel zaś wyobrażały manekiny różnych monarchów, a pomiędzy nimi także Mac Kinleya. Władze republikańskie na te potworne „zabawy“ spoglądały przez szpary. Zamach na Mac Kinleya przekona je o niebezpieczeństwie podobnej tolerancyi.

Jak dla nowożytnego anarchisty osobiste przymioty ofiary są zupełnie obojętne, a zatem nie roztrząsa, czy to „tyran“, czy przykładny władzca konstytucyjny, czy też nieszczęśliwa niewiasta, — tak naodwrót zupełnie obojętna jest kwestya, do której narodowości z urodzenia należy skrytobójca anarchiczny? Anarchista bowiem jest to zasadniczo człowiek, który się wyrzekł wszelkich starych „przesądów“, mianowicie pojęć ojczyzny i narodowości. Chociażby się nie nauczył żadnego drugiego języka, jak kompletnie głupi Luccheni, to wyrządzonoby temu a owemu narodowi srogą krzywdę, zaliczając takiego zbrodniarza do niego. Jeżeli po zabójstwie Carnota w południowej Francyi, po zabójstwie Cesarzowej Elżbiety w pewnych częściach Austryi, powstał ruch przeciwko robotnikom włoskim, oznaczało to, jak podnosiliśmy wówczas, zupełne zapoznanie natury anarchizmu. Jak za tysiączne morderstwa anarchiczne, spełnione we Francyi i w Hiszpanii, nie wolno składać politycznej odpowiedzialności na narody francuski i hiszpański, tak byłoby niesprawiedliwością zwalać indywidualną winę Caseria lub Luccheniego na naród włoski.

Anarchista jest człowiekiem bez narodowości, jak jest człowiekiem bez religii, chociaż otrzymał chrzest w kościele tego lub owego wyznania. Roztrząsanie więc pytania, czy ostatni skrytobójca Fryderyk Nieman czy Leon Czołgosz, czy też nazywa się inaczej, jest narodowości polskiej, niemieckiej, czy angielskiej? — nie ma najmniejszego sensu. Dość, że to anarchista, a więc człowiek bez narodowości.

Podobnie pustą jest zabawką roztrząsać, czy działał wskutek spisku? Możliwem jest to zawsze. Ale doniesienie *Gazety Kolońskiej*, że zabójca zeznał: „Spełniłem moją powinność, wyznaczony losem do zamordowania Mac Kinleya, nie mogłem inaczej“ — prawdopodobnie jest zmyślonem. Autentyczną będzie wiadomość, nadesłana wprost z Buffalo, według której zbrodniarz oświadczył, że nie ma żadnych wspólników, lecz z pisemek anarchicznych przekonał się, że rząd Unii jest złym i że najlepszym środkiem położenia temu końca będzie zamordowanie prezydenta.

Trzeba bowiem pamiętać o tem, co w ostatnich latach podnosiliśmy kilkakrotnie, że nowożytny anarchizm od dawnych ruchów rewolucyjnych tem się różni, iż zasadniczo wyklucza jako vieux genre spiski w dawnem znaczeniu wyrazu, rzucanie losu itd., obudzając natomiast w jednostkach popędy zabójcze. Po każdym z ostatnich głośnych zamachów zrazu domyślano się spisku. Wszystkie procesy królobójców wykazały płochość tych domysłów. Najdłużej we Włoszech obstawano przy fikcyi, że Bresci był członkiem spisku — dopiero przed kilku tygodniami sąd medyolański widział się zmuszonym uwolnić przytrzymanego pod podejrzeniem wspólnictwa w zbrodni Bresciego anarchistę.

Właśnie na tem polega większe niebezpieczeństwo nowożytnego anarchizmu, że działa bez spisków, z indywidualnego popędu jednostek i że zatem nie można po nici dojść do kłębka spisku, a doszedłszy, zgnieść go. Dlatego najdoskonalsza policya nie wystarcza, lecz potrzeba systematycznej, prowadzonej wytrwale za pomocą wszelkich moralnych środków akcyi, aby wytępić epidemię anarchizmu.

Prasa tutejsza jednomyślnie wyrąża swe silne i niezawodnie szczere oburzenie z powodu zamachu na Mac Kinleya. W tym względzie panuje zupełna zgoda pomiędzy organami opinii publicznej a organami władzy. Wprawdzie rząd Stanów Zjednoczonych wobec Austro-Węgier okazał bardzo wiele złej woli, np. w sprawie odszkodowania krewnych ofiar Hazletonu, jednakże hr. Gołuchowski, p. Koerber i p. Szell, ten ostatni w dziwnie lichej francuszczyźnie, pośpieszyli złożyć serdeczną kondolencyę. W takich chwilach zaznacza się ogólna solidarność historycznego ustroju przeciwko anarchizmowi. Szkoda tylko, że w kilka tygodni po ostatnim z kolei sensacyjnym zamachu anarchicznym wszyscy zapominają o potrzebie systematycznego zwalczania epidemii anarchizmu!

Jak zwykle w takich wypadkach, organ socyalnej demokracyi *Arbeiter Zeitung* potępia stanowczo zamach anarchiczny, wypierając się wszelkiego wspólnictwa socyalizmu z anarchizmem. W wywodach organu socyalistycznego brzmi jednak fałszywa nuta. Usiłowania przedstawienia każdej bardzo gruntownie obmyślanej i dokonanej z szczególną przebiegłością zbrodni anarchicznej jako wyniku — szaleństwa, tworzą sofistyczny środek odwrócenia uwagi od jądra kwestyi. W Stanach Zjednoczonych z pewnością zaznaczają się poważne symptomata rozstroju społecznego, fatalnej wybujałości „kapitalizmu“ itd. Ale tłómaczyć lub usprawiedliwiać nimi skrytobójstwa anarchiczne, jak to dziś czyni *Arbeiter Zeitung*, to znaczy osłabiać moralne zasady. Zresztą wszyscy anarchiści odbyli szkołę socyalizmu. To skonstatowano we wszystkich głośnych procesach ostatnich lat.

Czołgosz zeznał podobno, że swych przekonań anarchicznych zaczerpnął z broszury i wykładów anarchistki Goldmann. Nowy dowód, jak ścisły związek zachodzi pomiędzy anarchizmem w teoryi a anarchizmem w czynie. Pomimo tego *N. Fr. Presse* nie przypuszcza, aby którykolwiek parlament mógł dostarczyć władzy środka ubezwładnienia teoretyków anarchizmu, do rzędu których należy „wielki geograf“ Elizeusz Récius, „sławny“ Tołstoj i inni. (W nawiasie mówiąc, teorye Tołstoja są plagiatem bardzo głośnego swego czasu drugiego „discours“ J. J. Rousseau r. 1750: „De l'inégalite des hommes“, który tworzy „naukową“ podstawę anarchizmu). Dopóki jednak społeczeństwo nie zdobędzie się na solidarny zakaz szerzenia teoryi anarchizmu, o skutecznem zwalczaniu epidemii czynów anarchicznych nie może być mowy.

## Wystawa wszechamerykańska.

Buffalo w sierpniu.

Okrążająca Buffalo linia obwodowa kolei „New-York-Central“, podwozi nas do głównego wejścia. Z poza wysokiego płotu wyglądają gmachy różnokolorowe, kopuły przysadziste i wieże, zaznaczając się jasnemi liniami na błękicie niebios i tworząc dziwnie egzotyczne miasto wśród pustych placów, łąk i kęp roślinności. Z pociągu, przeszedłszy podziemnym kurytarzem długi szereg torów kolejowych, dostajemy się do obszernej halli, podobnej do skleconego tymczasowo, olbrzymiego dworca. — Szereg kas, turniketów i odźwiernych, wskazuje nam drogę. — Dla zwykłych śmiertelników 50 centów, dla dziennikarzy bilet wystawowego biura prasy — otwierają wejście.

Piękna kolumnada, rzucona półkolem i zakończona z obu stron monumentalnemi bramami, ciężkiemi i brzydkiemi pod względem architektury, zakrywa widok na całość wystawy, minąwszy ją atoli, doznajemy odrazu wrażenia nader przyjemnego. Widok, rozpościerający się poza kolumnadą, czaruje wprost oko, nietyle strukturą gmachów oddzielnych, bo to szczegół, który dostrzegamy przy bliższem dopiero rozpatrzeniu tego zbiorowiska, ile szczęśliwie dobranymi kolorami budynków oraz ich rozłożeniem na terenie wystawowym.

Przed nami, niemal czterystu stóp sięgająca, wieża elektryczna, *clou* wystawy, za nią cały szereg basenów z lasem wodotrysków i kaskad, z obu stron gmachy, a w głębi, po za placem obszernym, wdali, wspaniały most pomnikowy, na tle delikatnej zieleni, zakrywającej horyzont.

Harmonia w całości, rozkoszne, bo inaczej tego nazwać nie można, sprawiająca wrażenie. Oko z przyjemnością biega po rozległym terenie, podziwiając szmaragd kanałów lub ciemną zieleń alei cyprysów, pomarańcz i topoli, lubując się skalą nadanych gmachom kolorów, silnych u wejścia czerwienią, błękitem i złotem, a przechodzących stopniowo, nieznacznie prawie, w lazur, kolor różowy i mleczny, wśród których, jak śnieżno białe gołębie na placu św. Marka, rozrzucone jaśnieją grupy alegoryczne i posągi.

To zharmonizowanie barw, osiągnięte wielkim nakładem pracy i kosztów, dla dopięcia go bowiem artysta malarz wystawy, p. Turner, użył nietylko panoramicznego widoku wystawy na olbrzymich płótnach, ale nawet specyalnego jej modelu z gipsu — jest zaletą, przedewszystkiem rzucającą się w oczy zwiedzającym wystawę i słusznie nadało jej odrazu nazwę miasta Tęczowego — *Rainbow City* —

---

7)

BLANKA HALICKA.

## Konkury pana Michała.

**Obrazek.**

(Ciąg dalszy).

Panna Tea rozpromieniona, rozmarzona, wpatrzona w elegancką bródkę i zabójczo zakręcone czarne wąsiki pana Ferdynanda Świstackiego, bijącego dziś zdaleka w oczy fantastycznym, jak murawa zielonym krawatem, szła naprzód, jakby we śnie. Naraz uczuła, że ramię, na którem opierała drobną rączkę, drgnęło gwałtownie — podniosła oczy i ujrzała stojącą tuż przed nimi krótką, baryłkowatą postać jakiegoś starego jegomości, który patrzył na pana Świstackiego z takiem zarazem zdumieniem i wściekłością, że aż mu oczy z oprawy wyskakiwać się zdawały.

— Antek! Szelmo jeden! A ty co tu robisz, hultaju? — rozległ się nagle po całym deptaku piorunujący głos jego.

— Ferdynandzie, ratuj! to jakiś waryat! — wykrzyknęła przerażona panna Tea, lecz obejrzawszy się, ujrzała już tylko w dali połę jasnego ubrania zmykającego co sił Ferdynanda.

— Trzymaj! Łapaj! — wrzeszczał stary, wywijając rozpaczliwie laską w kierunku uciekającego.

Wtem stanęła przed nim pełna godności, tragiczna postać pani Birskiej.

— Panie, co to ma znaczyć? To jakaś pomyłka. Widocznie wziął pan za kogoś innego pana Świstackiego, narzeczonego mojej córki.

— Hu, hu, hu! — zaryczał nieznajomy — dyabli mi tam on Świstacki i dyabli narzeczony! Toż on Frączek, mościa dobrodziejko, szelma, urwipołeć, Antek Frączek, mój siostrzeniec! Był chłopcem w moim zakładzie fryzyerskim w Warszawie, a w końcu ukradł mi gałgan trzysta rubli i drapnął w świat! I gotów uciec ten szelma! Łapaj! Trzymaj! Policya! Na miłość Boską, gdzież ta policya!

Dokoła utworzył się już tłum widzów — słychać było wykrzykniki polskie, francuskie i żydowskie.

Lecz na szczęście dla pana Ferdynanda Świstackiego, czyli raczej Antka Frączka, policyanci kryniccy odznaczają się tem, że ich nigdy niema — tej więc jedynie okoliczności zawdzięczył ów młody człowiek swe ocalenie.

Rozumie się, że wobec takiej katastrofy nie pozostawało nieszczęsnej pannie Teofili nic innego, jak zemdleć, i uczyniła to też skwapliwie — matka stała obok niej z załamanemi rękami, istny posąg bolejącej Nioby — a podczas tego sprawca całego zamieszania, Frączek senior, fryzyer z Warszawy, opowiadał zgromadzonym dokoła widzom, jakie „urwanie głowy“ miał z niewdzięcznym siostrzeńcem, „tym nicponiem, tym hultajem z pod ciemnej gwiazdy!“

Zemdloną pannę Teofilę wniesiono do pierwszego najbliższego sklepu, i zanim ją ocucono, zanim sprowadzono dorożkę, którąby ją odwiozła do willi „pod zieloną papugą“, minęło dobre trzy kwandranse.

Owe trzy kwandrase były istnem błogosławieństwem dla Frączka juniora, który również w tym samym domu mieszkanie zajmował.

Miał bowiem czas zabrać swoje rzeczy, oświadczyć właścicielowi willi, że gwałtowna sprawa zmusza go do natychmiastowego wyjazdu z Krynicy, o należytość zaś za mieszkanie kazał mu się zgłosić do przyszłej swej teściowej, pani Birskiej.

Właściciel „zielonej papugi“, który wiedział o bliskich stosunkach, łączących go z paniami Birskiemi, a z drugiej znów strony wielką bystrością nie grzeszył, nie zdziwił się tem zbytnio i pozwolił eleganckiemu młodzianowi spokojnie odjechać.

Tak więc była jeszcze ostatnia pożegnalna niespodzianka, którą piękny Ferdynand urządził swej najdroższej Tei i niedoszłej teściowej.

Co działo się z biedną panną Teofilą, jakie gorzkie wyrzekania na los płynęły z ust pani Birskiej, jak cała Krynica aż trzęsła się ze śmiechu z tej całej katastrofy, tego odmalować nie jest w stanie żadne pióro!

Następnego dnia o świcie, zapłaciwszy mieszkanie za siebie i zbiegłego fryzyerczyka Frączka, wyjechały obie panie z Krynicy, by w rodzinnej wiosce, na łonie natury, ukryć żal swój i zawstydzenie.

Nieszczęsna panna Tea, zalewając się łzami, przysięgała sobie, że nigdy już w życiu nie uwierzy przysięgom zdradzieckiego rodu mężczyzn.

* * *

Od tego czasu upłynęły już dwa miesiące. a w Gapowie wciąż było cicho, smutno i głucho.

Po nieszczęśliwem wydarzeniu w Krynicy, o którem wieść lotem strzały rozniosła się po całem sąsiedztwie i ośmieszyła niesłychanie biednych państwa Birskich, woleli oni siedzieć cicho w domu i nie pokazywać się ludziom przez czas jakiś.

Nie zdołali jednak całkiem uniknąć natrętnej ciekawości sąsiadów, bo już w kilka dni po powrocie pań do domu uszczęśliwiła ich swemi odwiedzinami pani Pieprzycka, matka trzech córek, brzydkich jak grzech śmiertelny i.... biednych.... jak święty turecki, której wdzięki i posag panny Teofili już dawno były solą w oku.

Poczciwa niewiasta nie zaniedbała sposobności, by parę razy dotkliwie dociąć biednej pannie, między innemi np. wychwalając jej modne i piękne uczesanie, zapytała, czy to w Krynicy wyuczyła się tak sztuki fryzyerskiej?

Inni też sąsiedzi, a zwłaszcza sąsiadki, również teraz częściej niż dawniej zjawiali się w Gapowie, jedynie przez ciekawość, co porabia i jak wygląda „niedoszła pani Frączkowa“, jak ją teraz powszechnie w okolicy przezywano.

Można sobie wyobrazić, że te wszystkie odwiedziny niezbyt miłemi być musiały pp. Birskim i ich córce, postanowili więc nadal unikać nieproszonych gości, o ile się tylko da.

Parę razy kazali odpowiedzieć przez służbę, że ich nie ma w domu i w ten sposób przynajmniej zapewnili sobie względny spokój.

Biedna panna Tea zaś wyglądała jak kwiat szronem zwarzony i dochodziła już do niemożliwego stopnia chudości.

Okropna zdrada, jakiej padła ofiarą, zniszczyła doszczętnie wszystkie jej na przyszłość nadzieje.

Siedząc po całych dniach nieruchomo w fotelu, z główką żałośnie pochyloną — patrzyła już ze smutnem poddaniem się losowi na te szybko płynące tygodnie i miesiące, z których każdy coraz bardziej zbliżał ją do fatalnego staropanieństwa.

. . . . . . . . .

Wyznać musimy, że gdy pan Michał dowiedział się o bolesnej przygodzie panny Teofili, w sercu jego zapanowało złośliwe zadowolenie. Może rzuci to nieco ujemne światło na naszego bohatera, lecz szczerość uważamy za pierwszy nasz obowiązek, a wytłómaczeniem niech będzie, że wszyscy ludzie są ułomni, a pan Michał był tylko zwyczajnym człowiekiem.

Myśli jego i wrażenia obecne można mniej więcej sformułować w następnych słowach, niezbyt wykwintnych i zupełnie pozbawionych wzniosłości, lecz będących całkiem w zwykłym stylu i duchu jego:

— Wykierowałaś mnie na kpa, miejże teraz za swoje! — Na dnie zaś serca jego ukrywała się pewnego rodzaju wdzięczność dla fryzyerczyka Frączka, który tak dotkliwie odpłacił rozgrymaszonej pannie za jego krzywdę.

(Dokończenie nastąpi).

w przeciwstawieniu do Miasta Białego — *White City*, którą ochrzczono swego czasu kolosalną wystawę chicagowską.

Dopiero po nasyceniu wzroku tem, co w dzień jasny, upalny, gdy po słonecznem, białem niemal niebie leniwie przepływają delikatne, strzępiaste puchy obłoków, najpierw uderza oko widza — uważniej przypatrywać się zaczynamy gmachom i pomnikom.

Wieża elektryczna, najwyżej strzelający w niebiosa punkt wystawy: czworokątny komin, objęty u dołu półkolną kolumnadą, prześlicznie pojęty w kolorach (blado-żółty, lazurowy, jasno-zielony i złoty), urzydził jednak w liniach, a zwłaszcza u szczytu, gdzie ustawiono świątynkę jońską, na niej zaś coś nakształt latarni morskiej w stylu odrodzenia, ukoronowanej olbrzymim, złoconym posągiem geniusza światła. W nocy wieża ta przedstawia się inaczej; w dzień jednak wolę już taki potwór jak wieża Eiffla, bo jest przynajmniej symbolem wieku, nazwanego żelaznym.

Przypatrzywszy się z kolei innym gmachom i pomnikom, spostrzegamy w końcu, że ów kształt czworokątny wieży, który nas tak niemile uderzył — jest umotywowany.

Przy pewnym nakładzie pracy, cierpliwości i wyrobionym przez dłuższe studya guście, nie trudno było dojść ostatecznie do tak pięknych efektów kolorowych, jak te, które widzimy na wystawie. Rzecz się ma inaczej, gdy o styl chodzi. Tu nie pomogą: praca, gust, usiłowaniami zdobyty, i cierpliwość. Rozwinąć go i zastosować — rozwiną i zastosują; wymyślić go nie wytworzą.

Z piany morskiej wyszło piękno. Nie zrodziła go siła rzemieślnicza lub pieniądz. Nie wytworzą też stylu, bo gdyby to uczynić mogły, widzielibyśmy chyba najpiękniejsze pomniki stylowe w Stanach Zjednoczonych; widzimy natomiast przerażające wielkością i brakiem harmonii dwudziesto i trzydziestopiętrowe gmachy — potwory.

To nie styl, to droga, którą wskazał amerykanom Eiffel, to rezultat obliczeń matematycznych wytrzymałości nitów i belek żelaznych na działanie prądów powietrznych, to ściśle kupieckie wyrachowanie. I gdyby taniej było a dla zdrowia możliwe, zamiast dążyć pod niebiosa, wkopać się na trzydzieści piętr w ziemię i urządzić tam, w tych podziemiach, biura i składy, to bez wątpienia sianoby jeszcze na powierzchni gruntu miast amerykańskich pszenicę lub urządzano sady, by grunt więcej dochodu przynosił.

Nie dziw więc, że gdy przyszło do obmyślenia motywu stylowego dla wystawy wszechamerykańskiej, projektodawcy nie znaleźli go u siebie. Trzeba było jednak koniecznie wynaleźć coś amerykańskiego, boć wystawa miała być nie wszechświatową, nie wszecheuropejską, lecz wszechamerykańską, powinna przeto w architekturze swej nawet przypominać świat nowy.

Ale ni wigwamy Idyan stepowych, ni potworne pomniki Indyan Alaski, ni śniegowe chaty Eskimosów, ni uczepione do skał, piętrowe osady Indyan Arizony i Nowego Meksyku, nie przedstawiały motywów możliwych do wyzyskania. O prastarych, sięgających zamierzchłych tysiącleci ruinach Jukatanu i przedziwnych budowlach azteków zapomniano jakoś; wpadł natomiast w oko budowniczym wystawy prosty, surowy, naiwny jakiś styl pierwszych kolonizatorów Ameryki — Hiszpanów.

Kto tylko wędrował po Ameryce południowej, centralnej lub zachodnich wybrzeżach Stanów Zjednoczonych, gdzie wpływ hiszpański sięgał niemal do dzisiejszych granic Kolumbii brytańskiej, zna ów styl dobrze, uderza bowiem w oczy i wbija się w pamięć, powtarzając się niezmiennie w kościołach i zabudowaniach misyjnych od Argentyny do Kalifornii.

Czy to w pokrytych już dzisiaj lasem odwiecznym ruinach gmachów owego ciekawego w dziejach cywilizacyi nowego świata państwa Jezuitów w Paragwaju; czy to w kościołach Montevideo, Buenos Ayres, Santiago de Chile, Meksyku, Hawany lub najstarszego w Stanach Zjedn. miasta St. Augustin na półwyspie Florydy; czy to wreszcie w misyach San Luis el Rey, Santa Barbara lub Santa Ines, istniejących dotychczas w Kalifornii, wszędzie szerokie, płaskie, najczęściej bez ozdób jakichkolwiek, portyki, uwieńczone dwoma esami, wśród których sterczy mała gloryetka; mocne, czworokątne dzwonnice, podobne do coraz to mniejszych pudełek ustawionych jedno na drugiem; silne mury bez okien, stanowiące tylną ścianę cienistych ganków, opartych na gęstych czworokątnych słupach i otaczających obszerne podwórza; wystające daleko okapy dachów, a wszystko to kryte czerwoną, wyginaną dachówką.

Styl hiszpańsko-kolonialny. Renesans zastosowany do potrzeb i okoliczności, do świata, który i nawracać, i zdobywać trzeba było jednocześnie. Kościół i forteca, zlane w jedną całość.

Na wystawie wszechamerykańskiej motywy tego stylu powtarzają się niemal co chwila. Tu wieża, przeniesiona z katedry w Meksyku, ówdzie cały portyk, żywcem zdjęty z kościółka południowo-amerykańskiego; gdzieindziej ganek cienisty, obrosły winną latoroślą. Ale w cieniu ich, zamiast mnichów-żołnierzy, oglądamy tłum handlarzy, rzemieślników i urzędników, używających letniego wywczasu i kolorowych katalogów.

Pieniądze, wiele pieniędzy tłum ten amerykański posiada. Stworzył wystawę więc i na niej wyraźne piętno wycisnął. Brak umiarkowania w ozdobach razi, a gdzie budowniczy puścił wodze fantazyi, tam stworzył dziwoląg. Na pięknej kopule ostrosłup w kształcie piramidki lodów. Wszędzie przeładowanie ornamentami renesansowymi, gwiazdami, emblematami i górnolotnemi sentencyami. Najwyraźniej czyta się na każdym z tych gmachów zdanie, które zresztą w całych Stanach Zjednoczonych uderza:

— Dlaczego nie mam pozwolić sobie na to? Pieniądze mam.

Bogactwo najpiękniejszą rzecz zepsuć zdoła.

## Ruch przedwyborczy.

Do dzisiejszego numeru dołączamy mowy b. posłów z miasta Lwowa pp. Michała Michalskiego i dra Godfryda Małachowskiego, wygłoszone dnia 4 bm. przed wyborcami w sali Kasyna miejskiego. Zaraz nazajutrz mowy te podaliśmy w obszernem streszczeniu, dziś podajemy je w całej ich osnowie, a żeby wyborcy, którzy nie słyszeli tych mów, mogli jak najdokładniej rozpatrzeć się w sprawozdaniu tych wysoce zasłużonych dla kraju i miasta byłych posłów, a dzisiaj kandydatów poselskich, którzy w razie ponownego wyboru znów znakomicie zdołają służyć sprawom kraju i stołecznego grodu.

* * *

Walka wyborcza we Lwowie zaostrza się i nabiera komicznego kolorytu, bo wczoraj odbyły się dwa zgromadzenia, na których oficyalnie wystąpiono z kandydaturą wójta z Gręboszа, włościanina Jakóba Bojki, na posła ze Lwowa. Kandydaturę p. Bojki poparli pp. Rewakowicz, Jaegermann i Hudec. Ludowcy są zdania, że wybranie p. Bojki z miasta Lwowa jest konieczne „dla spełnienia ślubów króla Jana Kazimierza, złożonych w katedrze lwowskiej." — Widocznie p. Bojko wogóle konieczności swego wyboru ze Lwowa nie uznaje, kiedy nawet nie chce się wyborcom przedstawić.

Bardzo dobrze o kandydaturze p. Bojki odzywa się *Gazeta Narodowa*. Pisze ona: „Przeciw bytności w Sejmie włościanina Bojki, chociaż należy on do obozu ludowców, nic nie mamy, zastanowić jednak wypadałoby się przedtem: czy po to wiece i posłowie z miast dobijali się tak długo o pomnożenie ilości posłów z miast, aby w końcu wybierać być może sympatycznego włościanina, ale bądź co bądź mniej uzdolnionego do posłowania, niż każdy kandydat, ubiegający się na seryo o mandat stolicy kraju. Zastanowić się także należałoby, czy stawianiem tego rodzaju kandydatury nie dąży się do przewracania włościanom w głowie? A cóż powie Wójcik, jeśli mu pp. Doboszyński lub Rotter nie ustąpią miejsca w mieście Krakowie? — gotów przejść do obozu konserwatystów."

Na zgromadzeniu techników i przemysłowców wystąpił jako kandydat profesor politechniki, p. Roman Dzieślewski, który wykazywał konieczną potrzebę wysłania do Sejmu techników.

W Kasynie urzędniczem obradowało wczoraj Towarzystwo nauczycieli szkół lwowskich i uchwaliło w swem gronie popierać następującą listę kandydatów na posłów z m. Lwowa: dr. Małachowski, Michalski, dr. Piętak, Romanowicz, dr. Lilien i Jakób Bojko.

W sprawie wyborów poselskich do Sejmu z miasta Lwowa dowiadujemy się, że także urzędnicy gminy m. Lwowa odbyli w piątek dnia 6 b. m. w bardzo licznym komplecie zebranie poufne celem porozumienia się co do jednolitej solidarnej akcyi.

Mimo lużnych, a nieudałych usiłowań, zdążających do rozbicia tego zgromadzenia, uchwalono po wyczerpującej przedmiotowej rozprawie oświadczyć się solidarnie za programem komitetu stronnictwa demokratycznego lewicy sejmowej, w zamiarze popierania kandydatur tegoż stronnictwa.

Jakkolwiek powyższe zebranie było poufne, uważamy za konieczne umieścić niniejszą notatkę wobec krążącej w mieście fałszywej pogłoski, że zebranie o którem mowa, nie powzięło żadnych konkretnych uchwał.

* * *

W Krakowie w sobotę wieczorem odbyło się zgromadzenie przedwyborcze, urządzone przez partyę konserwatywną. Przewodniczył prof. dr. Leon Cyfrowicz. Udział w zebraniu wzięło około 400 wyborców. Pierwszy zabrał głos kandydat Jan Federowicz, radny miejski, kupiec krakowski. W mowie swej zaznaczył on potrzebę podniesienia mieszczaństwa i rękodzielnictwa. Drugi kandydat dr. Leon Horowitz, prezes wyznaniowej gminy izraelickiej, zaznaczył, że postawienie kandydatury żydowskiej przez partyę konserwatywną jest nietylko spełnieniem postulatu sprawiedliwości wobec ludności żydowskiej, ale wywołać musi wdzięczność tej ludności. Mowa trzeciego kandydata dra Władysława Jaworskiego, profesora prawa cywilnego w uniwersytecie Jagiellońskim, miała nader poważny charakter polityczny; mówca wykazał, że obecne smutne położenie kraju jest wynikiem pewnych przyczyn historycznych; wskazywał też zadania polityczne, ekonomiczne, społeczne i cywilizacyjne sejmu. — Czwarty kandydat, wiceprezydent miasta, prof. Leo zajmował się w swej mowie głównie finansami kraju, stosunkami ekonomicznymi Galicyi i Krakowa. — Wszyscy kandydaci oświadczyli, że w razie wyboru wstąpią do koła krakowskiego posłów sejmowych. Przemówienia ich przyjęto oklaskami.

Interpelacye wnosili pp. dyrektor Parczyński, profesor Stefan Zaleski, rejent dr. Konstanty Lipowski, adwokat dr. Klein. W imieniu kandydatów odpowiadał prof. dr. Leo. Zgromadzenie jednomyślnie uchwaliło kandydatury pp.: Jana Federowicza, Leona Horowitza, prof. Władysława Jaworskiego i wiceprezydenta prof. Leo.

W Tarnopolu rozgoryczenie sprawił fakt, że przeciw ponownej kandydaturze cieszącego się sympatyą i poważaniem całego miasta dyrektora Emila Michałowskiego, Rusini postawili swojego kandydata, li tylko dla tego, aby zwalczać Polaka. W obozie polskim, a także w niezacietrzewionych sferach ruskich Tarnopola wszczęto więc bardzo energiczną akcyę, aby niezdrowe to, szowinizmem ruskim podyktowane osłabianie sił ogółu inteligencyi tarnopolskiej, uczynić nieszkodliwem, a komitet niezawisłych wyborców polskich wydaje gorące odezwy do ogółu wyborców, zagrzewając Polaków do walnej obrony kandydaturą ruską zagrożonego posterunku.

## Memoryał deputacyi w sprawie Morskiego Oka.

Ekscelencyo! Uzupełniając komunikat wiecu Towarzystwa Tatrzańskiego, odbytego w Zakopanem w dniu 30 lipca b. r., przedłożony Waszej Ekscelencyi telegraficznie w dniu 30 lipca br., mamy zaszczyt donieść, co następuje: Od dwóch miesięcy posterunek żandarmeryi węgierskiej obozuje stale na spornem terytoryum nad Morskiem Okiem. W ciągnącym się od kilkunastu lat sporze jest to *novum* i *novum* bardzo groźne. W ten bowiem sposób chcą władze węgierskie zamanifestować i dać widomy wyraz zapatrywaniu, że aż do merytorycznego rozstrzygnięcia sporu, Węgry są w posiadaniu spornego terytoryum.

W zasadzie jest zupełnie możliwe, że przedmiot sporu znajduje się w posiadaniu jednej ze stron spór wiodących. Wówczas wszelkie z drugiej strony wychodzące usiłowania wykonywania posiadania na tym przedmiocie, kwalifikowałyby się jako naruszenie posiadania. Gdyby więc Węgrzy, jak to twierdzą, byli istotnie od początku sporu aż do dnia dzisiejszego w posiadaniu spornego terytoryum, wówczas mieliby zupełne prawo do utrzymywania porządku na tem terytoryum i postawienia tam tylu żandarmów, ilu im się podoba.

Tak jednak nie jest, przedmiot sporu był od początku sporu w posiadaniu Austryi, jak to wykażą poniżej przytoczone fakta. Pomijamy tutaj, o ile się to wogóle da zrobić, prawno-prywatną stronę kwestyi, ograniczając się do faktów znamionujących posiadanie prawno-publiczne.

1) Jeżeli więc przypominamy, że w roku 1899 nabywca dóbr Zakopane, Władysław hr. Zamoyski objął posiadanie pewnej części spornego terytoryum, to dlatego tylko, że była to ck. władza austryacka, mianowicie c. k. sąd obwodowy w Nowym Sączu, który tego nabywcę w posiadanie wprowadził.

2) Były to również władze austryackie, bo ck. sądy, które w ciągu sporu prawno prywatnego, zwracały się do obu stron z zakazami używania spornego terytoryum.

3) Również ck. władze polityczne wykonywały stale prawno-publiczne akty posiadania na spornem terytoryum.

Posterunek ck. żandarmeryi nad Morskiem Okiem wykonywał niejednokrotnie służbę bezpieczeństwa na spornem terytoryum, a nie dawniej jak w 1899 r. patrol c. k. żandarmeryi, napotkawszy ks. Hohenlohe, wezwał go do ustąpienia.

4) W roku 1900 ck. komisarz rządowy w Zakopanem w asystencyi ck. żandarmeryi odbył na polecenie władz wyższych komisyę na spornem terytoryum, z powodu wycięcia znaczniejszej ilości drzewa ze strony węgierskiej. Mamy więc zupełne prawo twierdzić, że przez cały czas trwania sporu i w różnych jego peryodach, nie Węgrzy, lecz Austrya wykonywała prawno-publiczne posiadanie spornego terytoryum, że więc wszelkie z węgierskiej strony próby posiadania, były naruszeniami onego posiadania ze strony Austryi.

Wobec tych prób kilkakrotnych, a do niedawna bezskutecznych, było aż nadto wskazanem, by właśnie ze strony austryackiej umieszczono na spornem terytoryum stały posterunek żandarmeryi. Nie uczyniono tego niestety, gdyż ck. władze austryackie, mimo iż wykonywały tamże bezsprzeczne akty posiadania, uważały zarazem to terytoryum za rodzaj „objet neutre", aż do merytorycznego rozstrzygnięcia sporu.

Zapatrywanie to nie wypływało ani z tekstu uchwalonej w r. 1898 ustawy, ani wogóle z jasnej świadomości prawnej stanu rzeczy, lecz tylko z jakiegoś mylnego poczucia, że spór o własność *ipso facto* przedmiot sporu niejako neutralizuje.

Wypadki ostatnich miesięcy okazały, że Węgrzy nie mają tego rodzaju skrupułów, natomiast umieją korzystać ze skrupułów austryackich. Widząc, że władze austryackie uważają terytoryum za neutralne, sami zaś wcale go za takie nie uważając, zajęli je swoją żandarmeryą. Ponieważ i po tym fakcie władze austryackie trwają przy swej „neutralności" (nie chcemy bowiem przypuszczać, że akceptują *a priori* węgierską teoryę o posiadaniu spornego terytoryum przez Węgry), przeto wskutek austryackiej „neutralności", od lat kilkunastu po raz pierwszy udało się Węgrom ukonstytuować akt prawno-publicznego posiadania spornego terytoryum.

Jakże wobec tego zachowują się władze austryackie? Wspomnieliśmy, że ignorowanie „neutralności" przez Węgry nie zdołało sprowadzić władz naszych z dotychczasowego stanowiska. Nie próbujemy obecnie już nawet skłaniać ich do tego, ani prosić, by c. k. władze, porzucając teoryę neutralności, a przypominając sobie, że same przez lat tyle wykonywały prawo posiadania na spornem terytoryum, poleciły w prostej konsekwencyi tego faktu c. k. żandarmeryi austryackiej opróżnić sporne terytoryum i trzymać na niem stale straż bezpieczeństwa. Nie prosimy o to, chociażbyśmy mieli zupełne prawo za sobą i chociaż w ten sposób jedynie można zapobiedz próbom samopomocy prywatnej. Otwarcie mówiąc, nie prosimy o to dlatego, że w energiczną pomoc władz centralnych austryackich w tej sprawie straciliśmy zupełnie ufność i nadzieję, — których hasłem wobec Węgier jest: „Spokój za każdą cenę".

Czego jednak nawet od tych władz centralnych oczekiwać chyba mamy prawo, to tego, by konsekwentnie dalej, trzymając się teoryi o neutralności spornego terytoryum, wreszcie ją wprowadziły w czyn. Znaczy to: Jeżeli terytoryum sporne jest neutralne, w takim razie żadnej ze stron nie wolno wykonywać na niem żadnych prawno-publicznych aktów posiadania. Skoro zaś wobec sporu prawno-prywatnego możliwe są na tem terytoryum zakłócenia z obu stron, więc neutralność polega na tem, by oba państwa zgodnie i wspólnie wykonywały tam, aż do rozstrzygnięcia sporu prawno-publicznego, policyę bezpieczeństwa. Wprowadzenie więc posterunku c. k. żandarmeryi austryackiej na sporne terytoryum obok żandarmeryi węgierskiej jest, jeśli władze węgierskie swego posterunku nie cofną, minimum tego, co w danej chwili uczynionem być musi. I to już jest ustępstwem wobec węgierskiego gwałtu, gdyż jest zejściem o jeden stopień niżej od bezsprzecznego austryackiego posiadania przez szeregi lat, do prowizorycznego współposiadania z Węgrami. Gdyby się i to nie stało, byłoby to zupełną kapitulacyą i przejściem od posiadania austryackiego do węgierskiego, coby musiało wywołać najżywsze rozgoryczenie i oburzenie mieszkańców kraju z następstwami nieobliczalnemi. Nie wątpimy na chwilę, że do tej ostateczności nie dopuszczą nawet c. k. władze centralne we Wiedniu. Pewni zaś jesteśmy, że Wasza Ekscellencya z właściwym sobie zapałem i stanowczością poprzeć zechce naszą prośbę, podyktowaną tak daleko idącem umiarkowaniem w rzeczy, poruszającej do głębi umysły całej ludności kraju.

Kraków dnia 1 września 1901.

*Dr. Stanisław Ponikło*, przewodniczący wiecu Towarzystwa Tatrzańskiego, I-szy wiceprezes Tow. Tatrz.

# KRONIKA.

Lwów 9 września.

**Deputacya w sprawie Morskiego Oka**, wysłana przez Towarzystwo Tatrzańskie, złożona z pp. dra Bednarskiego i Wacława Anczyca, przybyła do Lwowa i dziś będzie na posłuchaniu u p. Namiestnika.

**Kolej z Borysławia do Stebnika.** Właściciel dóbr Stanisław hr. Żółtowski w Truskawcu otrzymał na jeden rok zezwolenie na podjęcie przedwstępnych robót technicznych w celu wybudowania kolei lokalnej o normalnym torze ze stacyi Borysław przez Truskawiec do Stebnika.

**Ze zdrojowisk.** Do Truskawca przybyło na kuracyę w czasie od 16 sierpnia do 1 bm. 185 osób.

**Ślub.** Dnia 7 b. m. odbył się w kościele OO. Bernardynów w Krakowie ślub panny Jadwigi Mardyłłówny, córki radzcy sądu krajowego w Krakowie, z p. Józefem Ciembroniewiczem, nauczycielem. Związek małżeński po rzewnej i serdecznej przemowie pobłogosławił ks. Ferdynand Moralski, kustosz OO. Bernardynów krakowskich.

**Kapitan jen. sztabu Wójcik**, oficer armii austryackiej, Polak z Galicyi zachodniej, który brał udział w wyprawie do Chin, jako członek sztabu jenerała Walderseego, otrzymał obecnie od Cesarza Franciszka Józefa order żelaznej korony III klasy z dekoracyą wojenną.

**Konkursa** rozpisują: Rady szkolne okręgowe w Wieliczce, Gorlicach, Jaworowie, Tarnobrzegu i Borszczowie na stokilkadziesiąt posad nauczycielskich z terminem do końca września. — Sąd powiatowy w Dąbrowie przyjmie zaraz dyetaryusza za wynagrodzeniem 50 K. miesięcznie.

**Jesienny jarmark w Krakowie na konie** szlachetne, gospodarskie i włościańskie rozpocznie się dnia 23 b. m. i potrwa pięć dni.

**Lwowskie Tow. ratunkowe** udzieliło w miesiącu sierpniu pomocy swej w 283 wypadkach.

**Pomór świń.** W Krasuczynie pod Lwowem, gdzie istnieje zakład tuczenia świń, wybuchł pomór. Zarządzono natychmiast kontumacyę. Wszystkie wieprze, czy chore, czy zdrowe, zabito, mięso zdrowych sprzedano z licytacyi, zaś z chorych zniszczono.

**Chory człowiek.** Prezydyum magistratu m. Lwowa wydaliło ze służby dyetaryusza magistratu, Kamińskiego, z powodu, iż wykryło się, że to on zabiera z ekspedytu magistratu stosy urzędowych aktów i wrzuca je czy to do Pełtwi, czy do kanału w ratuszu. W piątek koledzy jego znaleźli w jego kieszeni znowu plik aktów, które on przy mundowaniu powyciągał z fascykułów, ażeby znowu je zniszczyć. Jest to u niego poprostu manią. Na zapytanie, dlaczego niszczy urzędowe akta, oświadczył, że czyni to z zemsty za to, że jego śp. ojciec, inżynier, był suspendowany, a matce odmóciwiono po nim pensyi wdowiej. Sprawdzono, że Kamiński, jakkolwiek był pożyteczny w pracy biurowej przy mundowaniu, jest upośledzony na umyśle.

**Nowe składnice pocztowe** zaprowadza Dyrekcya poczt z dniem 16 bm.: w Modlnicy i Bolechowicach koło Krakowa (w połączeniu z urzędem pocztowym w Zabierzowie), w Strzelcach wielkich (urząd pocztowy Szczurowa), w Majdanie granicznym (urząd poczt. Ottynia), w Staremsiole (urząd poczt. Oleszyce), w Przyłęku (urząd poczt. Trzęsówka), w Konkolnikach (urz. poczt. Bołszowce), w Kropiwnej (urz. poczt. Gołogóry), i w Jeżowem (w połączeniu z urzędem poczt. w Rudniku).

**Protest.** P. Alfred Kamienobrodzki protestuje przeciw bezprawnemu podpisywaniu go na afiszach, zalecających kandydatury pp. Dzieślewskiego, Romanowicza, Rutowskiego, Bojki i Liliena. P. Kamienobrodzki oświadcza, że brał udział w pracach komitetu techniczno-przemysłowego, uznając potrzebę cennej siły fachowej technicznej dla sejmu, jaką jest prof. Dzieślewski, jednak p. Kamienobrodzki do podpisywania go na plakatach, zalecających także pp. Romanowicza, Rutowskiego, Bojki i Liliena, nikogo nie upoważnił i nie głosował za uchwaleniem tych czterech kandydatur.

**Okradzenie kantoru p. Jonasza.** W nocy z soboty na niedzielę weszli rabusie do kantoru bankowego p. Jonasza, mieszczącego się przy ul. Karola Ludwika w Grand-Hotelu. Z badań dokonanych wczoraj, wynika, że rabusie dostali się do piwnicy handlu Michelstädtera, znajdującego się po drugiej stronie bramy Grand-Hotelu. Z tej piwnicy przeszli do następnych i kiedy się znaleźli pod kantorem p. Jonasza, wyjęli sklepienie, następnie raz przy razie w podłodze wyśrubowali w krąg tyle dziur w posadzce, aby przez ów wybity krąg mógł przeleźć człowiek. Tak się dostali do sklepu. Tu w pierwszym pokoju znajduje się kasa wertheimowska. Ją rabusie rozbili, wyjęli z niej około 80.000 K. w monetach złotych i papierach wartościowych. Te papiery p. Jonasz natychmiast a-

58)

# HURAGAN

**Powieść historyczna**

przez

***Wacława Gąsiorowskiego.***

(Ciąg dalszy).

Szynkareczka nie dała się zbić z tropu. Figlarne oczka nastawiła, pokręciła noskiem i zapytała powtórnie, niby mówiąc wpół do siebie:

– Różne już mundury widziałam... i grenadyerskie i woltyżerskie i huzarskie i pruskie i rosyjskie i nasze, a co... takiego sobie nie przypominam! Waszmość pan chyba z adjutantów gubernatorskich ?!...

— Mylisz się waćpani! — odrzekł nareszcie Floryan. — Mundur to strzelców francuskich...

— Francuskich strzelców! — zawołała z odcieniem radosnego zdziwienia szynkareczka. — A toż dopiero!... Że ja tego nie spostrzegłam odrazu! Ot głowa!... Hej! Pani Wojciechowa! Pani Wojciechowa!... Kumotrze!... Chodźcież bo.., gościa ci mamy nie lada... Pan oficer francuskich strzelców!!... Jezu! Ani mi to nie przyszło na myśl... Niechże bo waszmość pozwoli... że mu stół obrusem świeżym zaścielę... Tam, podle okna, niewygodnie... może tu, bliżej kominka?!... Piwo juści piwo, lecz możeby tak wina z korzeniami!... Dobre wino! Pan oficyer to nie tutejszy, nie wie, a przecież u nas „pod Kontuszem" co najprzedniejsi obywatele a szlachta pijają...

Szynkareczka uwijała się po winiarni; kręciła się żywo a, nawołując niecierpliwie, zaglądała do izby za szynkwasem. Zanim Floryan zdołał coś odpowiedzieć a podziękować, w izbie gościnnej ukazał się kusy, krępy mężczyzna w kubraku staroświeckim a jałowiczych butach i wysoka, cienka starucha, o twarzy pokurczonej, zmarszczonej i jak piąstka z pod białego czepca wyglądającej.

— Czołem — waszmość panu! — Maciej Kopytko szewc, do usług... a obecnej tu wdowy a gospodyni kumoter! — zaprezentował się mężczyzna, a wskazując na staruchę, dodał — a to... nasza Wojciechowa... trochę piastunka a prawie familiantka.

Starucha dygnęła kapitanowi, Kopytko skłonił się i oboje pożerać zaczęli oczyma mundur, kaszkiet a obszlegi Floryana.

— Rad, rad jestem... poznać! — bąknął Gotartowski.

— Waszmość pan daruje śmiałości! — ozwał się pan Kopytko. — Ale bo wprost z pod Bernardynów wróciłem i com się namordował, com natarmosił, żeby choć jednego dostać żołnierza, lecz gdzie tam: Wstyd się przyznać... ledwie kawałek sukna francuskiego został mi w garści, czego sobie darować nie mogę... bo on Francuz poczciwy brzydkie może powziąć o nas mniemanie, obaczywszy tak srogie okaleczenie szarawarów. Łaska atoli Boska czuwała snać, kiedy nam waszmość pana zesłała!... Wybaczaj waszmość, panie oficjerze, szewckie natręctwo... lecz hej... dzień ci taki dzisiaj nadszedł, że jak to onego czasu nawet w pociąglu serce się odzywa! Niechże bo kuma się zawinie a żwawo!! Gość taki!!... Toż chyba cała ulica posinieje z zazdrości jednej...

— Bóg zapłać! Bóg zapłać! Za dobre, poczciwe słowo!...

— Et! Panie oficjerze! — podchwycił wesoło szewc, — Za cóż bo Bóg miałby nam jeszcze płacić... to my raczej wszyscy w większej teraz niż kiedykolwiek jesteśmy względem niego zaległości.... Jest wino! Darujcie.... darujcie.... szewckiemu natręctwu.... W wasze ręce.... za pomyślność.... za.... tego!.... Tfy! Człowiek prosty zwyczajnie wygadać nie może... co ma na sercu, a co na wątrobie!....

— Wiem ci ja, wiem! — potakiwał Gotartowski.

Imć Kopytko, po kilku gwałtownych haustach wina, nabrał rezonu.

— A bo i tak!.... Pewnie, żem nie osoba ani personat, lecz co sobie powiedziałem.... strzymam. Niech się nasi ruszą.... to cztery przyszwy nowe daję... dwie pary palonych z przedniej skóry, rzemienia drobnego, użytecznego, worek i na porządki inne złotych polskich ośm... Potrzeba będzie szewckiej roboty, jakem Kopytko, wszystką czeladź napędzę... niech tam!... A niech się trafi tędy.... owędy.... to za drąg i łoić to łoić!!....

— Już bo to kumoter panu oficjerowi do słowa przyjść nie da! — wmieszała się z grymasem szynkareczka. — Wielka obrada! Zdrowia Bóg użyczył, toć nie taka znów cnota pójść, kiedy wszyscy idą!... Tedy jakże bo, panie oficjerze... idą Francuzy... co? Idą?!...

— Będziecie ich mieli za dni kilka niby mrowia!...

— I Napoljona także!?...

— I Napoleona!...

— Słyszycie Wojciechowo! Napoljon sam przychodzi do nas!... Niby cesarz francuski a nasz bez mała! — objaśniła szynkareczka, zaczem powabną swą główkę na rękach wsparła na stole podle Floryana i, wdzięcząc się a strzelając oczyma, rzekła z przymileniem: — Niechże nam pan oficjer powie o nim!...

Floryan to i owo o armii opowiedział i umilkł raptownie.

— Rety, jakie to ciekawe! — westchnęła szynkareczka, spoglądając z żalem na kapitana, że mówić przestał.

— Ciekawe, pewnie!... Ale najbardziej to jest mocne takie, aż ciarki przechodzą, tylko w garść pluj i wal... jako to onego czasu... — dodał kumoter.

— Tylko co pan oficer nie łaskaw, markotny czegoś!...

— Cóż bo kuma myśli! Świat taki przedeptać, z tyłu się nieprzyjacioły za bary brać... toć nie lada utrudzenie! Tułaczka da się we znaki!... Dobrze kumie mówić, jak sobie za szynkwasem siedzi i minki do gości stroi.

— Już by kumoter nie przymawiał! — nadąsała się szynkareczka. — Mało to było u nas kłopotu z Prusakami?!... O, zobacz-no na desce, ile to darmo napili się a najedli i co!... Niech ich tam powietrze morowe... Przyjdzie kreska na Matyska. Jeszcze oni nam za krzywdy zapłacą!... Strach pomyśleć, ilu ludzi namarnowali, naniszczyli... Winien czy niewinien! Ba! Niewiastom spokoju nie dali... Pomnisz kumotrze ową wdowę z córką, jak ją do zughauzu prowadzili...

— Moja gosposiu! — odezwał się znienacka kapitan. — Znacież wy dobrze okoliczne kamienice?...

— Czy znam! Panie oficyerze, a toż tu się rodziłam, tu rodzice moi trzymali jeszcze tę samą winiarnię, tu przez dwa lata mieszkałam z moim nieboszczykiem, świeć Panie nad jego duszą, tu mi zamarł na srogą gorączkę!... I tu od trzech lat żywot samotny wiodę z tą oto Wojciechową i z rodziną kumotra, co w tej samej kamieniczce kunszt swój prowadzi!... Ja bym kogo nie znała...

— A nie słyszeliście o panu... Janie Dziewanowskim?!...

— Czyśmy nie słyszeli!? — wmieszał się Imć Kopytko. — Toć, panie oficyerze... jednej przyszczypki na bucie jego nie było, któraby z mego nie wyszła warsztatu!!... Pan Dziewanowski toć mieszkał tu, niedaleczko, w dwóch izdebkach... Zacny szlachcic i podobno oficer nie lada!...

— U mnie to prawie codziennym bywał gościem!... Ledwie z rana okiennicę odemknąć zdołam, a już drzwi się z trzaskiem otwierają i słyszę głos pana Jana!... Dzielny kawaler — zakończyła z westchnieniem szynkarka.

— A czy nie wiecie nic o stryjence pana Dziewanowskiego?!...

Szynkarka z kumotrem spojrzeli na siebie znacząco. Ostatni ozwał się smutnie.

— Niby o pani pułkownikowej Dziewanowskiej!...

— Tak, tak właśnie! — potwierdził gorąco kapitan.

— Przepadła, przepadła i ona i córka jej!

Floryan zbladł.

— Co — jak to przepadła?!...

— Ach! Panie oficyerze... nie ona jedna, biedaczka! Więcej ich było ofiar takich!...

— Na miły Bóg mówcie mi całą prawdę!!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

mortyzował we wszystkich instytucyach pieniężnych i numera papierów podał do wiadomości władzy. W owej kasie wertheimowskiej leżały klucze do drugiej wertheimowskiej kasy, która stała w sąsiednim pokoju. Tych kluczy widocznie rabusie nie zauważyli, bo owej drugiej kasy wertheimowskiej nie otworzyli, a były w niej znacznie większe pieniądze niż w pierwszej. W piwnicy znaleziono skrzynkę z zupełnie nowymi narzędziami jak świder, dłuto i cienka piłka, a obok skrzyni znaleziono błękitną bluzę robotniczą, rękawiczki i półkoszulek. Rabunek spostrzeżono wczoraj z rana, gdy służba weszła do kantoru. Policya poszukuje rabusiów.

Wykonanie tej kradzieży z włamaniem było bardzo łatwe, a to z tego względu, że pasaż Hausmana, w obrębie którego mieści się kantor p. Jonasza, nie ma wcale bramy od ulicy Sykstuskiej, a wewnątrz nikt nie czuwa nad bezpieczeństwem mienia licznych, mających tam swe sklepy kupców. Również i to ułatwiało rabunek, że główne wejście do piwnic także nie było zamknięte.

Policya ma już pewne poszlaki. Jeżeli one pokażą się trafnemi, złodzieje pochodzili z poza Lwowa. Stwierdzono, że w ostatnich dniach w kilku ostatniorzędnych hotelach lwowskich przebywali rozmaici ludzie, którzy zameldowali się fałszywie. To już zostało sprawdzone.

Zdaje się, że złodziei było dwóch. Tak należy przynajmniej wnosić z opowiadań bojka, sprzedającego owoce na rogu wałów hetmańskich naprzeciw cukierni p. Bienieckiego. Opowiada on mianowicie, że w nocy z soboty na niedzielę około godziny 2-giej widział dwóch ludzi, jakoby kowali lub ślusarzy, którzy wyszli z pasażu Hausmana od strony ul. Kopernika. Jeden z przechodni podaje, że około godz. 11-tej w nocy widział jakichś dwóch ludzi, jakoby robotników, którzy kręcili się koło wejścia do piwnic i rozmawiali po niemiecku.

Jedna z rękawiczek skórkowych, znalezionych w piwnicy, ma świeżo odcięty wielki palec. Widocznie więc któryś z opryszków skaleczył się, operując przy rozbijaniu sklepienia piwnicy lub rozbijaniu kasy i na skaleczony palec nałożył palec z rękawiczki.

**Legalność Rady m. Krakowa** Dziś o 11-tej w południe rozpoczęła się w krakowskim sądzie powiatowym cywilnym rozprawa o restytucyę terminu do wniesienia spóźnionego rekursu gminy Krakowa przeciw orzeczeniu sędziego powiatowego Popiela w kwestyi legalności obecnej Rady miejskiej. Tuż przed rozpoczęciem rozprawy sekretarz prezydyum magistratu dr. Nowicki wręczył zastępcy gminy drowi Styczniowi reskrypt namiestnika, nadesłany dziś, w którym powiedziano, że namiestnictwo uznaje legalność istnienia Rady miejskiej, albowiem mandaty jej pozostają w mocy aż do przeprowadzenia nowych wyborów.

**Jubileusz i wystawa.** Mińskie towarzystwo rolnicze, słynne z tego, że wszystkich ziemian litewskich złączyło w jedną spółkę, która dostawia zboże do wojska, zakupuje nawozy, suszy i prasuje siano, wyrabia sery, obraca milionowymi funduszami, jest prawdziwem dobrodziejstwem dla rolników, obchodzi teraz jubileusz 25-letniego swego istnienia. Właśnie wczoraj był pierwszy dzień tej uroczystości. Zaczęto ją otwarciem w Mińsku rolniczo-przemysłowej wystawy, która podobno jest imponująca i bardzo pouczająca. Niejako sposobem poglądowym wykazuje ona, co zrobiło w ciągu lat 25 owo energiczne stowarzyszenie, na którego czele stoi hr. Czapski, syn owego Czapskiego, który swoje wspaniałe zbiory numizmatyczne i inne zgromadził w Krakowie w osobnem muzeum.

**„Anbinden".** W zeszłym tygodniu zdarzył się w 9-tym pp., rekrutującym się z ziemi stryjskiej, wypadek śmierci pewnego żołnierza, który za jakieś przewinienie odbył karę 2-godzinnego przymocowania go do słupa (Anbinden). Z kół prawniczych karę tę wyjaśniają następująco: Była ona przez pierwszego prawodawcę zupełnie inaczej rozumiana, aniżeli stosują ją dzisiaj. Była to kara hańbiąca, podobna do kary pręgierza. Żołnierz skazany na nią, stał z kajdanami u nóg i rąk i z rękoma, z dłońmi na zewnątrz, na plecach złożonemi, przywiązany do słupa na hańbę. Stąd też nazwa *anbinden.* Z czasem dopiero wyrodziła się ta kara moralna w karę fizycznego torturowania. Musiało się to zacząć od nadużyć, aż przeszło w zwyczaj i dzisiaj w wojsku zaginęła nawet tradycya tej kary moralnej, a pozostała jedynie kara fizycznej męki. Wprawdzie w przepisach wojskowych kara ta ciągle jeszcze opisana jest tak, jak ją pierwszy prawodawca rozumiał, ale nigdy już nie stosują jej wedle przepisów, lecz wedle okrutnego zwyczaju. Nie każdy nawet podoficer wie, jak ją właściwie wykonywać. Od początku swej służby wojskowej widzi jak ją praktykują i jest przekonany, że tak przepisy wojskowe wymagają. Słup zniknął już zupełnie, a miejsce jego zajęło straszne kółeczko. Nie „*anbinden*" więc, ale „*anhängen*" powinnaby się dziś ta kara nazywać. Dla wyrugowania jej nie potrzeba żadnych zmian kodyfikacyjnych, wystarczy, jeżeli minister wojny przypomni okólnikiem rzeczywisty przepis ustawy i wzbroni nadużycia. Kara „*anbinden*" bowiem, tak jak dziś jest praktykowana, nie jest niczem innem, jak nadużyciem, wprawdzie uświęconem zwyczajem, ale zwyczajem przeciwnem prawu. Jak dalece zaś odstępują od sposobu przepisanego co do wykonania tej kary, świadczy to, że zamiast okazać żołnierzom ukaranego, czyli wystawić na widok publiczny (w obrębie koszar), chowają delikwenta w mahtyej izbie lub w biurze rachunkowem podoficera kompanii. Przepis nakazuje, aby podczas całej kary był przy delikwencie lekarz, lecz i tego się nie czyni, i właśnie dlatego ów żołnierz 9 pp., odbywając karę „anbinden", umarł.

**Zagadkowy wypadek** na torze kolejowym między Kniażem a Złoczowem zdarzył się w nocy z piątku na sobotę. Na torze tym około godz. 1 w nocy budnik Szemberski miał „odkryć", że wyrwano szynę długości 12 metrów i strącono ją z nasypu. Fakt ten mógł sprowadzić straszne nieszczęście, zwłaszcza wobec tego, że jeszcze w nocy miał tamtędy przejechać pociąg ze Lwowa do Podwołoczysk. Atoli Szemberski ostrzegł sygnałem sąsiednie stacye przed grożącem temu pociągowi wykolejeniem. Byłoby to dowodem wielkiej czujności budnika i należałoby mu nawet za to nagroda. Jednakże żandarmerya, śledząc za sprawcą tego tak wielkiego uszkodzenia toru, zebrała liczne dane, że to właśnie Szemberski chciał zwrócić na się uwagę swoich przełożonych władzy i on, a nie kto inny tor uszkodził, aby następnie niebezpieczeństwo „wykryć". Wskutek tego Szemberskiego uwięziono, a śledztwo rychło zagadkę tę wyjaśni.

**Stan powietrza.** T. o g. 6 rano + 6. w poł. + 10. Bar. 710. Pochmurno.

**Podczas deszczu.**

— Ależ to nasz poeta zmoknął radykalnie!

— To widzisz, krytycy nie zostawili na nim suchej nitki.

**Repertuar teatru miejskiego we Lwowie.** Dziś w poniedziałek po raz IIgi „Otchłań" komedya w 4 aktach Tadeusza Konczyńskiego. Przedostatni gościnny występ p. Romana Żelazowskiego. — We wtorek po raz Vty „Leta" krotochwila w 3 aktach Ralfa Gobbinsa. — We środę wznowienie „Rozbitki" komedya w 4 akt. J. Blizińskiego. Ostatni i pożegnalny występ p. R. Żelazowskiego. — We czwartek po raz Iszy „Jabuka" czyli „Święto jabłek" operetka w 3 aktach G. Davis i M. Kalbeck, przekład A. Kitschmana, muzyka Jana Straussa. — W piątek po raz IIgi „Jabuka". — W sobotę po raz Iszy „Życie we dwoje" (La vie en deux) komedya w 3 aktach H. Baccaye, tłum. Sachorowski. — W niedzielę „Trzy życzenia" operetka w 3 aktach Ziehrera. Ostatni i pożegnalny występ p. Heleny Schuppówny.

# Literatura i sztuka.

* **Z teatru.** W sobotę odegrano po raz pierwszy 4-aktową sztukę p. Tadeusza Konczyńskiego pt. „Otchłań". Autor debiutował tą sztukę jako dramaturg najprzód przed publicznością warszawską, potem przed krakowską; w obu tych miastach przyjęto ją z pewnem uznaniem jako zadatek talentu młodego autora, podniesiono jednak przeciwko sztuce kilka poważnych zarzutów. Bohaterem sztuki jest niejaki Podosocki, szablonowy, znany dawno czarny charakter, tylko nieco zmodernizowany. Podosocki doprowadza swemi malwersacyami do ruiny pewien bank, demoralizuje wszystkich dokoła siebie, wreszcie jednak noga mu się powija, dobre czynniki wśród jego otoczenia biorą górę i ostatecznie zwalcza go reprezentant uczciwości, jego własny teść Hanusz, demaskuje go, każe mu podpisać wyznanie wszystkich popełnionych zbrodni i zmusza do opuszczenia kraju. Taka jest osnowa sztuki, którą trudno opowiedzieć szczegółowo, bo cała sztuka składa się właściwie z szytych żywą nitką niezliczonych szczegółów. Nie są one bynajmniej naturalnem następstwem rozwijania się tematu, który sam przez się jest pospolity, ale są sztucznem wplataniem w sztukę przeróżnych bądź to własnych autora pomysłów, bądź to reminiscencyi literackich. Autor wprowadza na scenę za dużo osób, wywołuje za dużo zamieszania. Być może, że ta pewna chaotyczność ma nam dać złudzenie powierzchni życia, ale w sztuce o tyle to nie dopisuje, że zbyt jest widocznem, iż autor wielce dba o chwilowe efekty teatralne, o tak zwane „silne sceny", a przytem nie pogardza nawet czasem pomysłem w guście operetkowym. Najważniejszym jednak błędem jest to, co już i warszawska krytyka podniosła, że charakter i działalność bohatera nie są umotywowane. W dziele sztuki nie dość jest powiedzieć, że ktoś jest złym, lecz trzeba wytłómaczyć, dlaczego stał się złym i jak się to dzieje, że nie może być innym. Podosocki albo z urodzenia jest złym, albo zdeprawowały go wychowanie i stosunki. Z „Otchłani" niepodobna się tego dowiedzieć. To samo trzeba powiedzieć o działalności Podosockiego: widz musi wierzyć autorowi na słowo, że ów Podosocki to oszust w wielkim stylu, przed którym drży całe otoczenie; taki oszust, o jakich właśnie w kryminalnych powieściach piszą, ale to, co z jego machiawelskiej działalności widzimy na scenie, jest bardzo naiwne; odczuje to każdy, który w sali sądowej słuchał historyi wielkich oszustw. Tak, jak Podosocki, postępuje raczej ktoś, co bardziej jeszcze pozuje na oszusta niż jest nim w istocie. Dlatego też już sam tytuł sztuki „Otchłań", w którą niby to wszystkich pogrąża ów Podosocki, jest pretensyonalny.

Również dziwnym jest reprezentant dobrego pierwiastku Hanusz, który nietylko zwalcza, ale przy końcu wprost pastwi się nad Podosockim, tak, że jeżeli autor postawił sobie za zadanie pokazać, jak cnota tryumfuje nad zbrodnią, to zaiste w jego sztuce cnota nie wzbudza sympatyi. Już w końcu aktu pierwszego Hanusz widzi, że Podosocki jest łotrem, ale zamiast go zaraz usunąć ze swego banku, albo zaraz powiedzieć mu całą prawdę, pozwala mu dalej przygotowywać łotrowstwa, tylko wciąż wszystkim mówi, że go zgniecie, jak robaka. Ów Hanusz, jegomość o siwiejących włosach, robi sobie wciąż reklamę uczciwego człowieka, lecz zaczyna działać dopiero przed spadnięciem zasłony w III akcie, kiedy powala pomocnika Podosockiego Woronka na kanapę i gniotąc mu pierś kolanami, wymusza zeń zeznania; wreszcie w IV akcie znęca się bez litości nad upokarzającym się przed nim zięciem. Można myśleć, że autor chciał pokazać, iż cnota, jak gniew, jest tylko wynikiem temperamentu.

Na pochwałę zasługuje ustawiczna dążność autora do plastyki scenicznej, do ciągłego zainteresowania widza i do dania aktorom dużo sposobności do grania. Jednak w tem jest autor dość jednostronny i tak w „Otchłani" prawie wszyscy ciągle wzajemnie się irytują, kłócą się i ostro ścierają, co naturalnie wymaga dużo gestykulacyi i do pewnego stopnia trzyma widza w naprężeniu, a w przykrem. Powoli w sali widzów wytwarza się atmosfera duszna.

Podosockiego grał bardzo dobrze p. Żelazowski, trzymając go w charakterze cynika i bonvivanta, i przez to podniósł nieco prawdopodobieństwo tej postaci. Hanusza grał p. Roman i utrzymał się na równi z Żelazowskim, jakkolwiek rola ta nie bardzo nadaje się do jego indywidualności. Na zupełną pochwałę zasłużyli sobie także pp. Tarasiewicz, Feldman i Fiszer. Panna Jankowska byłaby bardzo miłą, młodą, żywą jak iskra panienką, gdyby gdzie niegdzie nie przesadzała w zamaszystości. Inne panie, grające wczoraj, widocznie zupełnie zapomniały, że nasz teatr jest bardzo nieakustyczny. Zresztą niewiele mogły zrobić ze swych ról. — Teatr był prawie pełny.

# Cześć ekonomiczna.

**Wiedeń**, 7 września.

(Z.) Wiadomość o zamachu morderczym, popełnionym w Buffalo na prezydencie Stanów Zjednoczonych Mac-Kinleyu nie wywołała na targach pieniężnych zbyt piorunującego wrażenia. Co prawda, londyńska giełda była dziś zamknięta, a ona najsilniejszymi węzłami złączona jest z Ameryką, wszelako w Berlinie i Paryżu całkiem spokojnie oceniano ten wypadek. Przedewszystkiem więcej uwagi, niż na sam wypadek, zwracano na to, czy jest nadzieja utrzymania Mac-Kinleya przy życiu, a ponieważ pod tym względem nadchodziły pomyślne wiadomości, przeto nie było zgoła żadnych wstrząśnień na giełdach europejskich. Zresztą rozumowano, że chociażby nawet Mac Kinley i umarł, to nie wywołałoby to żadnych zmian w amerykańskiej polityce, bo miejsce jego zająłby wiceprezydent Roosevelt, tak samo republikanin i hołdujący tym samym zasadom, co Mac Kinley. Pozostaje jeszcze tylko obawa, czy na nowojorskiej giełdzie nie wybuchnie jaka panika, wszelako w ostatniej chwili nadeszły depesze z Nowego Yorku, że największe tamtejsze potęgi finansowe zawiązały syndykat celem zażegnania tego niebezpieczeństwa. Ostatecznie więc cały efekt zbrodni popełnionej w Buffalo przedstawia się na razie w spadku kursów akcyi kolei amerykańskich o $1^1/_2$ do $2^0/_0$.

Giełda nasza ma jednak swoje innego rodzaju kłopoty. Przez cały sierpień skarżono się tylko na zupełną martwotę naszego targu pieniężnego, od jakich dziesięciu dni jednak nastał bardzo znaczny spadek kursów początkowo w papierach kolejowych, a obecnie także w żelaznych, osobliwie w alpinach. Wczoraj spadły one o 15 koron. Motywowano to tem, że suma zamówień, na które Towarzystwo alpejskie wystawiło faktury w pierwszem półroczu b. r., jest o $1^1/_2$ miliona koron mniejsza, niż w tym samym okresie roku ubiegłego i że zatem spodziewać się trzeba bardzo znacznego zmniejszenia się dochodów Towarzystwa, tem bardziej, że ceny żelaza spadły w tym roku. — Z Berlina donoszą, że tamtejsza publiczność giełdowa sama wymierzyła sobie doraźną sprawiedliwość na spekulancie, który nie chciał płacić różnic kursowych. Sensal giełdowy Lacks miał do zapłacenia wrocławskiemu bankowi dyskontowemu 16.000 marek, nie chciał jednak zapłacić tej sumy zasłaniając się tem, że pretensye z gry giełdowej są niezaskarżalne. Owóż gdy dzisiaj ów Lacks pojawił się w berlińskiej sali giełdowej, wyrzucono go za drzwi i nie pozwolono wejść napowrót do sali.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 625·50, węgierskie 633·00, Anglobanki 265·00, Uniony 527·00, Bankvereiny 438·50, Länderbanki 400·50, Ludwiki 428·25, Czerniowieckie 524·00, Elbethale 465·50, Renta papierowa 98·50, srebrna 98·35, austryacka złota 119·10, austr. renta wal. kor. 95·55, węgierska złota 118·70, węgierska renta wal. kor. 92·65, dukat 11·32, 20-franków. 19·02—, 20-markówka 23·42, ruble 2·53—.

# TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

**Pekin** 9 września. W sobotę przybyli ks. Czing i Lihungczang do poselstwa hiszpańskiego i podpisali końcowy protokół. Poseł hiszpański, jako dziekan ciała dyplomatycznego, wyraził nadzieję, że obecnie rozpocznie się nowa era dobrych stosunków pomiędzy Chinami a mocarstwami europejskiemi. Ks. Czing w odpowiedzi wyraził niezłomne przekonanie, że nic nie zamąci przyjaznych stosunków, jakie obecnie nawiązano. Chiny spełnią wszystkie przyjęte na siebie zobowiązania.

Wojsko francuskie ustąpiło zupełnie z Paotingfu. Oddziały angielski i amerykański otrzymały upoważnienie do pozostawania w świątyniach aż do czasu wykończenia baraków.

**Rjeka** 9 września. Badanie bakteryologiczne zwłok zmarłego tu dnia 3 b. m. starszego majtka Giuticha obudziło podejrzenie, że zmarł on na dżumę; z tego powodu zamknięto szpital, w którym on leżał. Zarządzono także inne środki ostrożności, pomimo, iż Giutich bawił od 26 zeszłego miesiąca w Rjece, a od jego śmierci dotychczas nie zaszedł żaden wypadek podejrzanej choroby. Przybył tu profesor uniwersytetu Pertik celem stwierdzenia, czy bakcyle znalezione w zwłokach Giuticha okażą się zabójczymi dla królików.

**Toruń** 9 września. Dziś rozpoczął się wśród wielkiego natłoku publiczności proces o tajne stowarzyszenie przeciw 60 polskim gimnazyalistom. Wszyscy oskarżeni stanęli do rozprawy; nie uznają się winnymi.

**Wiedeń** 9 września. Jak się dowiadujemy, ustawa w sprawie uregulowania stosunków służbowych weterynarzy państwowych wejdzie z dniem 1 października w życie.

**Zagrzeb** 9 września. Zapowiedziany wiec celem uchwalenia protestu w sprawie zakładu św. Hieronima w Rzymie odbył się dziś przy bardzo licznym udziale publiczności. Przebieg wiecu był spokojny. Uchwalono wysłać telegramy z hołdem i podziękowaniem do Cesarza, Papieża, episkopatu kroackiego i rektora Pazmana.

**Waszyngton** 9 września. Tutejsze poselstwo kolumbijskie otrzymało wczoraj od byłego kolumbijskiego posła w Waszyngtonie doniesienie telegraficzne z Willemstad (na antylskiej wyspie Curaçao), że flota wenezuelska bombarduje miasto Rio del Hacha, położone na północnem wybrzeżu Kolumbii.

**Królewiec** 9 września. 200-ną rocznicę wyniesienia Prus do rzędu królestwa obchodzono wczoraj uroczyście w obecności cesarza Wilhelma, cesarzowej i następcy tronu.

**Budapeszt** 9 września. Sesyę Sejmu węgierskiego zamknięto dziś mową tronową. Wylicza ona ważne prace ustawodawcze, załatwione przez Sejm w ubiegłem pięcioleciu na wszystkich polach życia publicznego; nadmienia, że nie udało się uregulować spraw celno-handlowych między obu połowami monarchii na podstawie postanowień artykułu 12 tego ustawy z r. 1867; wspomina o polepszeniu się stosunków kredytowych, wzroście spółek kredytowych dla rolników, i o regulacyi waluty, która w ostatnich czasach znakomite poczyniła postępy. Mowa tronowa wyraża nadzieję, że niebawem uda się sprawę regulacyi waluty, leżącą tak bardzo w interesie sfer przemysłowych i handlowych. W końcu wypowiada mowa tronowa życzenie, ażeby błogosławieństwo trwałego pokoju ułatwiło wszystkie owe prace ustawodawcze, możemy zaś mieć uzasadnioną nadzieję, że pokój będzie trwały, ze względu na serdeczne stosunki z naszymi sprzymierzeńcami i dobre przyjazne stosunki z wszystkiemi mocarstwami.

**Kraków** 9 września. Utrzymują, że hr. Kazimierz Badeni nie będzie się ubiegał o mandat sejmowy z wielkiej własności krakowskiej.

P. Kazimierz Bartoszewicz wskutek nalegań rękodzielników, trwa przy swej kandydaturze do Sejmu.

Jako kandydatów do Rady państwa w miejsce śp. Weigla, wymieniają jeszcze z obozu konserwatywnego pp. prof. Jaworskiego, adwokata Koya i dra Poniklę, z obozu zaś demokratycznego pp. Bandrowskiego i dyrektora Sołtysika.

**Johannesburg** 9 września. W kopalni złota w Gensburg rozpoczęto na nowo robotę. Do pracy przyjęto za zezwoleniem Kitchenera wielu z miejscowej ludności.

**Frankfurt n. M.** 9 września Były pruski wiceprezes gabinetu i minister skarbu dr. Miquel zmarł nagle na udar sercowy. W sobotę popołudniu odbył jak zwykle przechadzkę, wieczorem czytał dzienniki i załatwiał korespondencye, a o północy udał się na spoczynek. Wczoraj rano córka jego znalazła go w łóżku nieżywego.

**Sofia** 9 września. Ajencya bułgarska zaprzecza pogłoskom o rzekomej dymisyi prezydenta ministrów Karawełowa.

## Zamach na Mac Kinleya.

**Buffalo** 9 września. Według wydanego wczoraj rano biuletynu, prezydent Mac Kinley przepędził noc wcale dobrze. Lekarze mają wszelką nadzieję, że, jeżeli nie nastąpią objawy zapalenia, prezydent wyzdrowieje. Wydany wczoraj w południe biuletyn stwierdził również zadowalający przebieg choroby. Puls około 130, temperatura 102 (39° Cels.) oddech 25. O ile się zdaje, nie zajdzie potrzeba, aby wiceprezydent Roosevelt w zastępstwie Mac Kinleya objął ster rządów.

**Nowy Jork** 9 września. *New York Herald* donosi, iż lekarze prosili Roosevelta, aby zawiadomił prezydya stronnictw, że Mac Kinley będzie wyleczony z zadanych mu ran.

**Buffalo** 9 września. Żonę prezydenta, która sama jest bardzo cierpiąca, zawiadomiono o zamachu w cztery godziny po jego dokonaniu, gdy już można było upewnić ją, że rany nie są śmiertelne. Prezydentowa natychmiast wyjechała osobnym pociągiem do Buffalo. Opowiada ona, że przed kilku dniami miała jakieś przeczucie, iż w Buffalo będzie wykonany zamach na jej małżonka. Gdy przystąpiła do łoża chorego, rzekł on: „Musimy oboje być silni i ufać, że nam będzie coraz lepiej". Zresztą mało kogo przypuszcza się do Mac Kinleya, gdyż lekarze zalecili unikanie wszelkich wzruszeń. Bezustannie czuwają przy nim dwaj lekarze i dwie kobiety. Wczoraj po południu spożył on płynne pokarmy.

Edison nadesłał do Buffalo z Nowego Jorku znakomity aparat röntgenowski, aby można odszukać kulę, która, jak stwierdzono przy operacyi, po przebiciu obu ścian żołądka, zwróciła się na dół, przyczem nie uszkodziła jelit, ani żadnego ważnego organu.

Zamach wykonano bezpośrednio po ukończeniu produkcyi muzycznej. Mimo, że prezydenta strzegło kilku urzędników tajnej policyi, łatwo było wykonać nań atak, ponieważ stał na podwyższeniu. Wielkie tłumy otoczyły go, wskutek czego panował w pobliżu prezydenta ścisk i tłok. Mac Kinley był widocznie bardzo uradowany tymi objawami przywiązania. Rozmawiał właśnie z prezesem wystawy Milbornem, gdy zbliżył się doń jakiś czarno ubrany człowiek, który prawą rękę miał owiniętą w chustkę. Mac Kinley wyciągnął rękę do niego, chcąc powitać go jak wszystkich innych, gdy w tej chwili padł strzał. Po strzale zapanowała nagle ogromna cisza. Prezydent cofnął się i bardzo blady usiadł na krześle zakrywając twarz rękami. Najbliżsi z otoczenia natychmiast rozpięli mu kamizelkę. Mac Kinley prosił, aby zachowano spokój. Sekretarz jego rzucił się doń ze słowami: „Ależ panie prezydencie, jesteś pan zraniony". „Nie sądzę, że mię ciężko ugodzono" — odrzekł prezydent, a po chwili dodał: „Proszę nie przesadzać, jeżeli panowie zawiadomicie o tem zajściu moję żonę". Tymczasem w hali muzycznej zapanowało ogromne rozdrażnienie. Dwóch urzędników tajnej policyi rzuciło się na sprawcę zamachu usiłując wyrwać mu broń. On uwolnił się jeszcze z ich rąk i wystrzelił po raz drugi do Mac Kinleya. Ten drugi strzał ugodził prezydenta w pierś tak słabo, że prezydent mógł sam wyjąć kulę. Wyniesiono rannego z hali. Tłum rzucił się na zbrodniarza, chcąc go zlynchować. Gdyby nie wojsko, nie byłby uszedł cało.

**Waszyngton** 9 września. W Cleveland aresztowano dwie osoby, podejrzane o współwinę w zamachu. Jedna z nich przyrzekła policyi wymienić nazwiska kilku jeszcze spólników. Policya sądzi, że zamach uplanowano w Cleveland. Anarchiści w Chicago zaprzeczają jakoby zamach był wynikiem spisku anarchistycznego.

**Chicago** 9 września. Uwięziono tu dziesięciu mężczyzn i dwie kobiety, podejrzanych o współwinę w zamachu na Mac Kinley'a.

**Waszyngton** 9 września. Rządy wszystkich państw nadesłały tutejszemu rządowi wyrazy oburzenia z powodu nikczemnego zamachu, oraz życzenia, aby prezydent rychło powrócił do zdrowia.

**Nowy Jork** 9 września. Wszystkie dzienniki żądają surowego ukarania sprawcy zamachu, jeżeli nie okaże się, że jest on waryatem, oraz domagają się energicznych zarządzeń przeciw anarchistom.

**Buffalo** 9 września. Biuletyn wydany wczoraj wieczorem donosi, że Mac Kinley spał przed południem cztery godziny i jest spokojny. Stan jego, według orzeczenia lekarzy, jest zadowalający. Puls 138, temperatura 101°F. (38·3°C.) oddech 28.

**Londyn** 9 września. Do *Morning Post* donoszą z Buffalo pod datą wczorajszą, że lekarz przyboczny Mac Kinleya dr. Rixey oświadczył żonie prezydenta, że przesilenie minęło.

**Chicago** 9 września. Tutejszy dziennik *Daily News* ogłasza zeznania sprawcy zamachu Czolgosza, złożone przed policyą w Buffalo. Czolgosz oświadczył, że wyłącznie działał pod wpływem pism anarchistycznych i zdziwiony był wrogiem zachowaniem się wobec niego ludności na wystawie po zamachu. Czolgosz, podpisawszy protokół zeznań oświadczył, że czynu swego wcale nie żałuje, bo zrobił dla wielkiej sprawy to co mógł. Nie jest w związku z grupą anarchistów w Patterson, ani też z tymi anarchistami, którzy Bresciego wysłali do Włoch. Nie ma wspólników.

Podług innych sprawozdań z Buffalo, Czolgosz przyznał, że przed wykonaniem zamachu opowiadał o tym zamiarze kilku swoim przyjaciołom. Dotychczas nie chce Czolgosz przyjąć żadnego adwokata.

**Cleveland** 9 września. Tutejsza policya utrzymuje, że z przesłuchania przyjaciół Czolgosza zdaje się wynikać, iż spisku na życie Mac Kinleya nie było.



**NADESŁANE.**

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie żadnej odpowiedzialności.



**Lwów** 9 września (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

**Akcye** za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron 426·00 do 433·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaski po 400 kor. 525.00 do 535.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 530.00 do 540·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 100·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 360·— do 380.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 350.— do 358.—.

**Listy zastawne** za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·50 do 000·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 97·30 do 98·—, 4 proc. los. w 60 lat 89.70 do 90·40. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 99.30 do 100.— Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 92·— do 92·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 93·30 do 94·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 93.50 do 94.20, 4 proc. los w 56 lat 90·70 do 91.40.

**Wiedeń** 9 września. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień 7·96—7·97, na wiosnę 8·45—8·46; żyto na jesień 7·05—7·06, na wiosnę 7·33—7·34; kukurudza na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·37—5·38, na maj-czerwiec 5·36—5·37; owies na jesień 6·89—6·90, na wiosnę 7·19—7·20. Rzepak na sierpień-wrzesień 14·20—14·30, na wrzesień-październik 0·00—0·00, na styczeń-luty 0·00—0·00. Olej rzepakowy na wrzesień-grudzień 0·00—0·00. Tendencya: silna. Pogoda: chłodno.

**Budapeszt** 9 września. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na październik 7·83—7·86, na kwiecień 8·29—8·30; żyto na październik 6·68—6·99, na kwiecień 6·98—6·99; owies na październik 6·54—6·55, na kwiecień 6·88—6·89; kukurudza na wrzesień 5·08—5·09, na maj (1902) 5·07—5·08. Rzepak na 00·00—00·00. — Oferty na pszenicę: mierne. Chęć kupna: słaba. Tendencya: słba. Pogoda: chłodno.

## Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1901 roku według czasu środkowo-europejskiego.

**Przychodzą do Lwowa:**

Z Krakowa: **2·31*, 1·35, 8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50*
Z Rzeszowa: 11·45.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35,** 8·35*. 5·35, 10.20*; na Podzamcze: **2·20,** 8·12*, 5·11, 10·2*.
Z Tarnopola: 8·00 (na dw. gł.); 7·40 na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12·15*, 1·45,** 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Sokala: 8·15, 6·00.
Z Janowa 7·45, 12·55; do 15 września w niedzielę i święta: 9.00*; do 30 września codziennie: 9·41*.
Z Brzuchowic do 15 września codziennie: 6·46 i 8·50*, w niedzielę i święta: 8·14 i 7·36*.

**Odchodzą ze Lwowa:**

Do Krakowa: **12·45*, 8·30, 2·55,** 4·15*, 8·40, 6·20*, 11*.
Do Rzeszowa: 3·30.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55,** 6·30, 9·25, 11·10*; z Podzamcza: **2·08,** 6·43, 9.42, 11·32*.
Do Tarnopola: 7·10* z dw. głównego i 7·32* z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2·51*, 2·40,** 6·25, 10·25, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 8·05, 6·35*.
Do Sokala: 10·20, 7·25*.
Do Janowa: 9·15; do 15 września w niedziele i święta 1·25, a codziennie 3·15; do 15 września w dni powszednie a następnie codziennie 6·30*.
Do Brzuchowic. do 15 września codziennie 5·45* i 8·26, a w niedziele i święta 2·15 i 7·52*.

**Uwaga.** Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

Obszerny wyciąg z rozkładu jazdy dla głównego dworca i Podzamcza ogłasza się co środy i soboty.

24)

# KTO WINIEN?

POWIEŚĆ

**A. CARUTHERSA.**

Przekład z angielskiego *E. Z.*

(Ciąg dalszy).

— Przecież wielki los tej loteryi wygrał jakiś robotnik francuski — rzekł przewodniczący — pamiętam doskonale tę okoliczność.

— Nie on go wygrał, tylko zgłosił się po te pieniądze dla mnie.

— Dlaczego pan nie przyszedłeś po nie sam?

— Bo się bałem, że mnie opadną wierzyciele.

— A nie bałeś się pan, że robotnik przywłaszczy sobie tę sumę?

— Nie, znałem jego uczciwość.

Prokurator przypomniał, że pomiędzy dniem ciągnienia loteryi i zgłoszeniem się po wielki los upłynęło dwa tygodnie i że zgłaszający się po wygranę tłómaczył tę zwłokę tem, że bilet zagubił.

Przewodniczący zapytał podsądnego, czy tak istotnie było, a otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, spytał:

— Więc zostawiłeś pan ten bilet w skrytce szkatułki przez zapomnienie?

Sir Leslie skinął głową. Po sali przeszedł szmer. Podsądny uczuł, że zgubił się tą odpowiedzią w opinii publicznej, pomimo to patrzył przewodniczącemu prosto w oczy, nie śmiał jednak spojrzeć na salę, z obawy, że wśród zgromadzonych zobaczy bladą twarz żony.

— Czy pan objaśniłeś doktora Kaskawicza, dlaczego pragniesz tak bardzo szkatułkę odzyskać? — pytał przewodniczący.

— Nadzieja odnalezienia biletu nie była jedyną pobudką mych poszukiwań — brzmiała odpowiedź. — Ceniłem tę szkatułkę jako pamiątkę po mojej pierwszej żonie i gotów byłem do wszelkich ofiar, byle ją odzyskać.

— Nie wspomniałeś pan jednak doktorowi o bilecie?

— Nie.

— Czy to na pańską prośbę zeznawał on podczas pierwszego śledztwa fałszywie?

Po krótkiem wahaniu, podsądny odpowiedział twierdząco, dodając:

— Okoliczności tak się przeciwko mnie sprzysięgły, że starałem się wszelkimi sposobami, aby moje nazwisko nie zostało wmieszane w tę sprawę; bałem się paść ofiarą pomyłki sądowej.

— I doktor Kaskawicz na pańskie żądanie dopuścił się krzywoprzysięstwa?

— Obawiał się, że mówiąc prawdę, zgubi mnie bezpowrotnie, a że był pewny mojej niewinności, więc ów fakt zataił.

— Ileż mu pan zapłaciłeś za tę usługę?

— Ani szeląga — brzmiała odpowiedź pełna oburzenia.

Skończywszy badanie podsądnego, przewodniczący kazał przyprowadzić świadków.

Pierwszy stanął przed kratką doktor Kaskawicz; twarz jego ponura, sardoniczna, nie zdradzała najmniejszego wzruszenia; z najzimniejszą krwią przyznał, że na kilka dni przed zamordowaniem pani Silverow podsądny przychodził do niego z zapytaniem, czy zechce mu odstąpić szkatułkę, że mu na to odpowiedział, iż ją ofiarował pewnej damie i tem samem rozporządzać nią nie może. W dalszym ciągu opowiadał fakty dobrze nam znane.

— Czy, dowiedziawszy się o zamordowaniu pani Silverow, nie posądziłeś pan Chetwynda o tę zbrodnię?

— Ani na chwilę — brzmiała odpowiedź — nie przyszło mi nawet na myśl, aby gentleman angielski był zdolny zabić kobietę dla zagarnięcia takiego gracika.

— A gdyś się pan dowiedział, że ów gracik zawierał bilet, przedstawiający wartość pół miliona, czy nie zacząłeś go podejrzywać o to morderstwo?

— Gdyby takie podejrzenie przyszło mi na myśl, nie omieszkałbym wydać winnego w ręce sprawiedliwości.

— Jednak własny list pański dowodzi, że przewidywałeś, iż pani Silverow niełatwo pozbędzie się szkatułki. Mogłeś pan zatem przypuścić, że pan Chetwynd będzie zmuszony użyć gwałtu.

— Powtarzam raz jeszcze, że nie wzbudzał we mnie żadnego podejrzenia, dlatego to starałem się wszelkimi sposobami przeszkodzić, aby go nie aresztowano. Wiedziałem, że pozory przemawiają przeciwko niemu i że zostanie prawdopodobnie skazany. Omyłki sądowe zdarzają się tak często.

— Czy możesz pan przysiądz, że cię nie wynagrodzono za taką opiekę nad podsądnym?

— Mogę przysiądz, że mi pan Chetwynd nigdy nic nie dał, ani dać obiecał.

— Czy znasz go pan od dawna?

— Zobaczyłem go po raz pierwszy w dniu, gdy przyszedł do mnie po szkatułkę.

— I dla tak pobieżnego stosunku zdecydowałeś się pan na krzywoprzysięstwo?

— Nie, panie, uczyniłem to nie dla znajomego, lecz dla bliźniego, gdyż byłem pewien, iż jest niewinny.

Zeznawał następnie odźwierny domu, zamieszkiwanego przez pana Chetwynda w owym czasie. Przytoczył on dzień, a nawet godzinę, w której lokator opuścił swój apartament. Taka dokładność zdziwiła przewodniczącego.

Zapytał go, z jakiego powodu tak dobrze ten dzień pamięta.

— To bardzo naturalne—odparł — tego dnia znajomi wzięli mojego syna, Gastona, do hipodromu. Chłopak cieszył się okropnie, bo nigdy na żadnem widowisku nie był.

Takie objaśnienie wydawało mu się wystarczającem. Następnie, na pytanie przewodniczącego, odźwierny oświadczył, że ani on, ani jego żona nie widzieli, aby pan Chetwynd wychodził w dniu zbrodni na ulicę, lecz że oboje wieczorem spostrzegli, że ma rękę na temblaku, a gdy go pytali, co mu się stało, odpowiedział, że wyskakując z omnibusu, stłukł sobie rękę.

Co zaś do pozycyi finansowej państwa Chetwynd, świadek zeznawał, że byli w złych interesach, że panienka poprzedniego dnia zastawiła bronzowe kandelabry, aby mieć za co kupić obiad.

— Skąd pan wiesz? — pytał prezes.

— Dojrzałem czubki kandelabrów, wychodzące z koszyka, z którym panienka szła na miasto po prowizye.

Zeznania pozostałych świadków nie wykazały nic nowego, potwierdziły tylko wiadome już fakty.

Prokurator zabrał głos i na mocy wiadomości, zaczerpniętych w Anglii i we Francyi, odtworzył całe życie podsądnego. Przedstawił go jako kalekę od lat najmłodszych, namiętnego gracza, niepoprawnego rozrzutnika, który zmarnował nietylko cały swój majątek, ale i fortunę drugiej żony i pasierbicy.

Będąc zrujnowanym, żył z jałmużny stryja, po którym wreszcie odziedziczył tytuł i fortunę. Smutne doświadczenia nie wykorzeniły w nim zgubnych namiętności; w dalszym ciągu grywał w totalizatora, trzymał bilety loteryjne i oddawał się hazardowi.

Pewnego dnia dowiaduje się, że wygrał wielki los na loteryi nicejskiej, lecz, niestety, bilet pozostał w skrytce szkatułki, która wraz z wielu innymi kosztowniejszymi przedmiotami poszła do lombardu.

Na szczęście dla niego, w wigilię tego dnia przybyła z Anglii jego starsza córka. Chciał wykupić szkatułkę z jej oszczędności zapewne.

Jakaż była jego rozpacz, gdy dowiedział się, że już sprzedana. Puścił się na poszukiwania. Dowiedział się wreszcie, że cenny przedmiot jest w rękach Bułgara. Bułgar ofiarował go pięknej kobiecie, sprowadzając tem jej nieszczęście. Obiecał, że użyje swych wpływów, aby ją skłonić do odstąpienia szkatułki dawnemu właścicielowi.

Podsądny, nie licząc na skuteczność tego kroku, udał się jednak do nieszczęśliwej ofiary. Nieprawdopodobnem jest, aby ta kobieta, otoczona zbytkiem i szafująca pieniędzmi, zgodziła się oddać tak piękny gracik za marne kilkaset franków; musiała odmówić, co skłoniło podsądnego do użycia gwałtu.

Wszczęła się pomiędzy nimi walka; broniąc szkatułki, pani Silverow upadła i pociągnęła za sobą etażerkę. Wtedy to morderca schwycił ją za gardło ręką lewą, gdyż prawą miał skaleczoną i bezwładną.

Wina oskarżonego była tak oczywistą, że nie ulegało wątpliwości, iż wyrok będzie potępiający.

Jakże wreszcie wierzyć w uczciwość człowieka, który pomimo przywiązania do żony i dzieci, pogrążył je w nędzy dla dogodzenia swym niskim namiętnościom? Czemużby oszczędzał życie osoby nieznanej, skoro stawała mu na drodze do znacznej fortuny?

Jego wysokie urodzenie i wykształcenie czyniły zbrodnię tem wstrętniejszą. Można było przyznać okoliczności łagodzące prostemu człowiekowi, zrodzonemu na niższym szczeblu społecznym, lecz nic nie usprawiedliwiało tego gentlemana, który, pomimo ogłady i wyykształcenia, dopuścił się brutalnego przestępstwa.

(Dokończenie nastąpi).



Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** — Papier z fabryki Czerlańskiej. — Z drukarni E. Winiarza